

Nr 1 (158) – B Rok 27

Styczeń-Luty 2021



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Witold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Dejneka, Ryszard Frączek, ks. Grzegorz Draus, Maria Kalas, Jarosław Kowalczyk, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Razem z czasopismem ukazuje się seria książkowa Biblioteka „Wołania z Wołynia”.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Świadectwo rejestracji: RW nr 187

z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Oddział redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:

Stow. Ośrodek “Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:

S.W.I.F.T code: POLUPLPR

~ ~ ~ ~

Jesteśmy w Facebook’u:

«**Wołanie z Wołynia**

– **Воляння з Волині**»

<http://www.facebook.com/Wolanie/>

«**Sursum corda**»

<http://www.facebook.com/Sursum-corda-254753281236024/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-9: Ks. Przemysław KRAKOWCZYK, *Rok Sługi Bożego ks. Stanisława Szulmińskiego SAC*
- s. 5-9: *Oroędzie Papieża Franciszka na 55. Światowy Dzień Środków Społecznego Przekazu*
- s. 10: Лариса КОЛЕСНИК, «Нагорода вічна»
- s. 11-12: *Komunikat Biskupów Rzymsko-Katolickiego Kościoła w Ukrainie z okazji 30-tej rocznicy odnowienia struktur Kościoła Katolickiego na Ukrainie*
- s. 13-14: [Ks. Witold Józef KOWALÓW], Śp. kard. Marian Jaworski. Książę odrodzonego Kościoła Lwowskiego
- s. 15-17: Ks. Błażej MICHALEWSKI, *Siostry Eucharystki w sowieckim Kazachstanie*
- s. 18-23: Sławomir Tomasz ROCH, *Rzeź Kolonii Gucin na Ziemi Włodzimierskiej*
- s. 24-25: Maria KALAS, *Święto Chorych w diecezji łuckiej w latach 30. XX wieku*
- s. 26-29: [K. Zygmunt CHMIELNICKI?], *Echa Kowelskie*
- s. 31-47: Petro ANTONOWYCZ, *Krótką historią Wołynia, cz. I Doba staroruska (od VI w. do 1340 roku)*
- s. 48-52: Ryszard FRĄCZEK, *Ks. prałat kanonik Mieczysław Aleksander Rossowski. Patriota, społecznik*
- s. 53-69: Ułasz SAMCZUK, „Wołyn. Powieść w trzech tomach”, t. II: „Wojna i rewolucja”, „Wojna IV”
- s. 70-75: Elżbieta ORZECZOWSKA, *Była sobie szczęśliwa wołyńska wieś...*
- s. 76: Ерна ШЕВЧУК, *Від Варкович до Ставища. Повернення Антонія Анджейовського*
- s. 77: Tomasz SZCZEPAŃSKI, *Międzytorze*
- s. 78-80: Ryszard FRĄCZEK, *Ks. dr kanonik Jan Dyrda (1931-2020). Kapłan, kresowiak, wychowawca, patriota. Wspomnienie*

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2020 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej dostępne są m.in. pod adresami: http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/ <http://kresy24.pl/archiwum-pisma-wolanie-z-wolynia/>

Uprzejmię dziękujemy za pomoc w digitalizacji archiwum naszego czasopisma Śląskiej Bibliotece Cyfrowej: <https://www.sbc.org.pl/>
Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy. Redakcja «Wołania z Wołynia»”



Projekt jest finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w ramach zadania publicznego dotyczącego pomocy Polonii i Polakom za granicą. Projekt Fundacji Wolność i Demokracja „Polska Platforma Medialna”

Życia Kościoła - З життя Церкви

ROK SŁUGI BOŻEGO KS. STANISŁAWA SZULMIŃSKIEGO SAC



Sługa Boży ks. Stanisław Szulmiński SAC

Fot. Archiwum

W piątek, 27 listopada 2020 r., podczas liturgii Eucharystycznej o godz. 18.00 w kościele ks. Pallotynów na warszawskiej Pradze (ul. Skaryszewska 12) zainaugurowany został „Rok Sługi Bożego ks. Stanisława Szulmińskiego SAC”, którego proces beatyfikacyjny od dwóch lat toczy się w diecezji warszawsko-praskiej. Obchody Roku Szulmińskiego potrwać od 27 listopada 2020 r. do 28 listopada 2021 i mają być duchowym przygotowaniem do 80. rocznicy chwalebnej śmierci Apostoła Pojednania.

Sługa Boży ks. Stanisław Szulmiński urodził się na Kresach Wschodnich, 10

lipca 1894 w Odessie. Dzieciństwo i lata młodości spędził w Kamieńcu Podolskim. Poruszony świadectwem życia ks. Władysława Dworzeckiego postanawia realizować swoje powołanie do świętości na drodze kapłańskiej. Zostaje wyświęcony w Buczaczu przez bp. Piotra Mańkowskiego 8 lipca 1923, a następnie skierowany na dalsze studia w KUL. Tutaj poznaje Sł. B. ks. Władysława Korniłowicza, późniejszego duszpasterza podwarszawskich Laszek i Sł. B. o. Jacka Woronieckiego, ówczesnego dziekana Wydziału Teologicznego KUL, który pełnił wobec ks. Stanisława posługę kierownika duchowego.



**Sługa Boży ks. Stanisław Szulmiński
w okresie uwięzienia w Baranowiczach**
Fot. Archiwum

Przez rok mieszkał również pod jednym dachem w konwiktzie dla księży z neoprezbiterem, późniejszym Prymasem Polski, ks. Stefanem Wyszyńskim. W latach 1927-1928 prowadził wykłady z zakresu teologii orientalnej (prawosławnej) w seminarium duchownym w Łucku na Wołyniu.

Jego największym pragnieniem był wyjazd do bolszewickiej Rosji, aby pełnić posługę duszpasterską wśród opuszczonych katolików. W roku 1928 wstępuje w szeregi Księży pallotynów stając się cenionym kierownikiem duchowym, nauczycielem, wychowawcą i profesorem seminarijnym. W roku 1937 zakłada Stowarzyszenie Apostolatu Pojednania, którego celem jest szerzenie idei ekumenicznych przede wszystkim poprzez wła-

sne urobienie duchowe, modlitwę i ofiarę oraz wsparcie materialne Kościoła na Wschodzie.

Jego heroiczna postawa miłości wobec każdego człowieka już za życia przydawała mu opinię świętości. We wrześniu 1939, ks. Szulmiński był w drodze do swojej nowej placówki w Okopach Trójcy Świętej, jednak wybuch wojny uniemożliwił mu dotarcie do celu. W Nowogródku 24 października 1939 r. zostaje aresztowany przez NKWD i po rocznym procesie skazany na 5 lat ciężkich prac w łagrze Uchta pod kołem podbiegunowym. Również tam pozostawia heroiczne świadectwo wierności Bogu i służby drugiemu człowiekowi. Potajemnie sprawuje funkcje kapłańskie, a swoją postawą i słowem wlewa nadzieje w serca współwięźniów. Abraham Zak, polski Żyd, poeta i pisarz, po latach wspominał ks. Stanisława „*Ciągnęło mnie, aby spędzać z nim czas, rozmawiać – jakbym szukał u niego odrobiny nadziei... Rozmawialiśmy podczas przerw w pracy, albo wieczorami w baraku. Był to prawdziwie kryształowy człowiek*”.

Ksiądz Szulmiński umiera nagle w nocy 27 listopada 1941 w opinii świętości, a wiadomość o jego odejściu napędza smutkiem wielu łagierników zarówno Polaków jak i Żydów. Świadectwa na temat Sługi Bożego oraz łask otrzymywanych przez Jego wstawiennictwo były zbierane przez Księży pallotynów od razu po wojnie. Proces beatyfikacyjny mógł się jednak rozpocząć dopiero po upadku komunizmu.

ks. Przemysław Krakowczyk SAC



CHODŹ ZOBACZ

KRYZYS W PRZEMYSŁE WYDAWNICZYM NIESIE NIEBEZPIECZEŃSTWO INFORMACJI TWORZONYCH W REDAKCJACH, PRZED KOMPUTEREM, W AGENCJACH, W SIECIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH, BEZ WYCHODZENIA NA ULICE, BEZ «ZDZIERANIA BUTÓW», BEZ SPOTYKANIA OSÓB W CELU POSZUKIWANIA HISTORII CZY ZWERYFIKOWANIA DE VISU NIEKTÓRYCH SYTUACJI.

Jeśli nie otworzymy się na spotkanie, pozostaniemy widzami z zewnątrz, pomimo technologicznych innowacji, które mogą stawiać nas wobec rzeczywistości poszerzonej, w której, jak się nam wydaje, jesteśmy zanurzeni. Każde narzędzie jest użyteczne i cenne tylko wtedy, gdy skłania nas do pójścia i zobaczenia rzeczy, o których inaczej byśmy nie wiedzieli, gdy umieszcza w sieci informacje, które w innym przypadku nie znalazłyby się w obiegu, gdy umożliwia spotkania, do których inaczej by nie doszło.

SZCZEGÓŁY KRONIKI W EWANGELII

Pierwszym uczniom, którzy chcą Go poznać, po chrzcie w Jordanie, Jezus od-

powiada: «*Chodźcie, a zobaczycie*» (J 1, 39), zapraszając ich do wejścia w relację z Nim. Ponad pół wieku później, kiedy Jan, bardzo stary, spisuje swoją Ewangelię, przypomina pewne szczegóły «kroniki», które ujawniają jego obecność w danym miejscu oraz wpływ, jaki to doświadczenie miało na jego życie: «*Było to około godziny dziesiątej*», zapisuje, czyli czwartej po południu (por. w. 39). Następnego dnia – opowiada dalej Jan – Filip informuje Natanaela o spotkaniu z Mesjaszem. Jego przyjaciel jest sceptyczny: «*Czy może być co dobrego z Nazaretu?*». Filip nie próbuje przekonać go argumentami, mówi do niego: «*Chodź i zobacz*» (por. w. 46). Natanael idzie i widzi, i od tej chwili jego życie się zmienia. Tak się zaczyna wiara chrześcijańska. I tak jest przekazywana – jako bezpośrednia wiedza, pochodząca z doświadczenia, nie ze słyszenia. «*Wierzymy już nie dzięki twemu opowiadaniu, usłyszeliśmy bowiem na własne uszy*», mówią ludzie do Samarytanki po tym, jak Jezus zatrzymał się w ich miasteczku (por. J 4, 39-42). «*Chodź i zobacz*» jest najprostszym sposobem, aby poznać rzeczywistość. To najbardziej uczciwa weryfikacja każdej wiadomości, ponie-

waż, aby poznać, trzeba spotkać, pozwolić, aby ten, kto stoi przede mną, opowiedział mi, pozwolić, aby jego świadectwo dotarło do mnie.

DZIĘKI ODWADZE WIELU DZIENNIKARZY

Również dziennikarstwo, jako opowiadanie o rzeczywistości, wymaga zdolności pójścia tam, dokąd nikt nie idzie – ruszenia się i pragnienia zobaczenia. Ciekawości, otwartości, pasji. Musimy dziękować za odwagę i zaangażowanie wielu profesjonalistów – dziennikarzy, operatorów filmowych, montażystów, reżyserów, którzy często pracują z wielkim narażeniem – za to, że dziś znamy, na przykład, trudną sytuację mniejszości przesładowanych w różnych częściach świata; że zostały ujawnione wielkie nadużycia władzy i niesprawiedliwość wobec ubogich i wobec stworzenia; że wiele zapomnianych wojen zostało opowiedzianych. Byłoby wielką stratą, nie tylko dla informacji, ale dla całego społeczeństwa i demokracji, gdyby zabrakło tych głosów – zużyciem dla naszego człowieczeństwa.

Liczne sytuacje na kuli ziemskiej, tym bardziej w obecnym czasie pandemii, kierują do świata komunikacji zaproszenie: *«chodź i zobacz»*. Istnieje niebezpieczeństwo opowiadania o pandemii, jak i o każdym kryzysie, tylko z punktu widzenia świata najbogatszego, prowadzenia *«podwójnej rachunkowości»*.

POMYŚLMY O KWESTII SZCZEPIONEK, A TAKŻE OGÓLNIIE O OPIECIE MEDYCZNEJ, O NIEBEZPIECZEŃSTWIE WYKLUCZENIA NAJUBOŻSZEJ LUDNOŚCI. KTO OPOWIE NAM O OCZEKIWANIU NA WYLECZENIE W NAJUBOŻSZYCH WIOSKACH AZJI, AMERYKI ŁACIŃSKIEJ I AFRYKI?

Tak więc różnice społeczne i gospodarcze w skali globalnej mogą wpły-

wać na kolejność dystrybucji szczepionek przeciwko COVID, z biednymi, którzy są zawsze ostatni, prawem do zdrowia dla wszystkich, zasadniczo potwierdzonym, pozbawionym swojego rzeczywistego znaczenia. Ale również w świecie większych szczęściarzy dramat społeczny rodzin, które szybko popadły w ubóstwo, pozostaje w znacznej mierze ukryty – rażą i nie budzą zbytniego zainteresowania mediów osoby, które, pokonując wstyd, stają w kolejce przed ośrodkami Caritasu, aby otrzymać paczkę żywnościową.

SZANSE I PUŁAPKI W SIECI

Sieć ze swoimi niezliczonymi formami social może zwiększać możliwości opowiadania i dzielenia się – wiele więcej oczu otwartych na świat, ciągle przepływ obrazów i świadectw. Technologia cyfrowa daje nam możliwość informacji z pierwszej ręki, szybkiej, czasami bardzo przydatnej – pomyślmy o pewnych wypadkach, kiedy to pierwsze doniesienia, a także pierwsze komunikaty dla ludności rozpowszechniane są właśnie w sieci. Jest to niezwykle narzędzie, które czyni nas wszystkich odpowiedzialnymi, jako użytkowników i jako odbiorców.

POTENCJALNIE WSZYSCY MOŻEMY STAĆ SIĘ ŚWIADKAMI WYDARZEŃ, KTÓRE W PRZECIWNYM RAZIE ZOSTAŁYBY POMINIĘTE PRZEZ MEDIA TRADYCYJNE, MOŻEMY WNIEŚĆ NASZ OBYWATELSKI WKŁAD, UJAWNIĆ WIĘCEJ HISTORII, RÓWNIEŻ POZYTYWNYCH. DZIĘKI SIECI MAMY MOŻLIWOŚĆ OPOWIEDZENIA TEGO, CO WIDZIMY, TEGO, CO DZIEJE SIĘ NA NASZYCH OCZACH, PODZIELENIA SIĘ ŚWIADECTWAMI.

Stały się już jednak oczywiste dla wszystkich również zagrożenia związane



z komunikacją *social* pozbawioną weryfikacji. Już od dawna wiemy o tym, że wiadomości, a nawet obrazy są łatwe do zmanipulowania, z wielu powodów, czasem jedynie przez banalny narcyzm. Ta krytyczna świadomość skłania nie do tego, by demonizować to narzędzie, ale do bardziej umiejętnego rozeznawania i do bardziej dojrzałego poczucia odpowiedzialności, zarówno wtedy, gdy treści są rozpowszechniane, jak i wtedy, gdy są przyjmowane. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za nasz przekaz, za informacje, które podajemy, za kontrolę, której razem możemy dokonywać odnośnie do fałszywych wiadomości, demaskując je. Wszyscy jesteśmy wezwani, by być świadkami prawdy – aby pójść, zobaczyć i się podzielić.

NIC NIE ZASTĄPI ZOBACZENIA NA WŁASNE OCZY

W przekazie nic nigdy nie może w pełni zastąpić zobaczenia na własne oczy. Niektórych rzeczy można się nauczyć jedynie z własnego doświadczenia. Porozumiewamy się nie tylko słowami, ale oczami, tonem głosu, gestami. Wielka atrakcyjność Jezusa dla tego, kto Go spotykał, wynikała z prawdziwości Jego głosz-

nia, ale skuteczność tego, co mówił, była związana z Jego spojrzeniem, Jego postawą, a nawet z Jego milczeniem. Uczniowie nie tylko słuchali Jego słów, patrzyli na Niego, gdy mówił. W rzeczywistości w Nim – wcielonym Logosie – Słowo zyskało Oblicze, Bóg niewidzialny pozwolił się zobaczyć, usłyszeć i dotknąć, jak pisze Jan (por. 1 J 1, 1-3). Słowo jest skuteczne tylko wtedy, gdy je «widać», tylko wtedy, gdy włącza nas w doświadczenie, w dialog. Z tego powodu «*chodź i zobacz*» miało i ma zasadnicze znaczenie.

Pomyślmy, jak wiele jest pustej elokwencji także w naszych czasach, w każdej dziedzinie życia społecznego, w handlu, jak i w polityce. «*Wypowiada nieskończenie wiele byle czego, a przyczyny tego są zwykle podobne do dwóch ziarenek pszenicy skrytych w dwóch korcach plew: musisz poszukiwać ich przez dzień cały, nim je odnajdziesz, a gdy będziesz je już miał, okaże się, że niewarte były poszukiwań*» [2]. Ostre słowa angielskiego dramaturga mają zastosowanie także do nas, głoszących chrześcijan. Dobra Nowina Ewangelii rozpowszechniła się na całym świecie dzięki spotkaniom człowieka z człowiekiem, serca z sercem. Mężczyzn i kobiet, którzy przyjęli to samo zaproszenie: «*chodź i zobacz*», i zachwycili się «*dotądkiem*» człowieczeństwa, które przejawiało się w spojrzeniu, w słowie, w gestach osób, które świadczyły o Jezusie Chrystusie.

WSZYSTKIE NARZĘDZIA SĄ WAŻNE, I TEN WSPANIAŁY MÓWCA, KTÓRY NAZYWAŁ SIĘ PAWEŁ Z TARSU, Z PEWNOŚCIĄ POSŁUGIWAŁBY SIĘ POCZTĄ ELEKTRONICZNĄ I WIADOMOŚCIAMI SOCIAL; ALE TO JEGO WIARA, JEGO NADZIEJA I JEGO MIŁOŚĆ WYWIERAŁY WRAŻENIE NA WSPÓŁCZESNYCH MU LUDZIACH, KTÓRZY SŁUCHA-

LI JEGO GŁOSZENIA I MIELI SZCZĘŚCIE SPĘDZAĆ Z NIM CZAS, WIDZIEĆ GO PODCZAS ZGROMADZENIA CZY INDYWIDUALNEJ ROZMOWY.

Widząc go w działaniu w miejscach, w których się znajdował, weryfikowali, jak prawdziwe i owocne dla życia było głoszenie zbawienia, którego był zwiastunem dzięki łasce Bożej. A również tam, gdzie nie można było osobiście spotkać tego Bożego współpracownika, o jego sposobie życia w Chrystusie świadczyli uczniowie, których posyłał (por. 1 Kor 4, 17).

«W naszych rękach są książki, w naszych oczach fakty», twierdził św. Augustyn [3], namawiając do dostrzegania w rzeczywistości wypełniania się proroctw obecnych w Piśmie Świętym. Tak więc Ewangelia wydarza się na nowo dzisiaj, za każdym razem, gdy otrzymujemy jasne świadectwo osób, których życie zostało zmienione przez spotkanie z Jezusem. Od ponad dwóch tysięcy lat to łańcuch spotkań przekazuje urok przygody chrześcijańskiej. Wyzwaniem, przed którym wszyscy stoimy, jest zatem komunikowanie, spotykając osoby, tam gdzie są, i takie, jakie są.

Panie, naucz nas wychodzić poza nasze
«ja»

i wyruszać na poszukiwanie prawdy.

Naucz nas iść, by zobaczyć,

naucz nas słuchać,

nie pielęgnować uprzedzeń,

nie wyciągać pospiesznych wniosków.

Naucz nas chodzić tam, gdzie nikt nie
chce pójść,

poświęcić czas na zrozumienie,

zwracać uwagę na to, co najważniejsze,

nie dać się rozproszyć przez to, co zbędne,
odróżniać mylące pozory od prawdy.

Obdarz nas łaską rozpoznawania miejsca
Twojego przebywania w świecie



Papież Franciszek

Fot. Wikimedia Commons

i szczerością opowiadania o tym,
co zobaczyliśmy.

Papież Franciszek

Rzym, u św. Jana na Lateranie,
23 stycznia 2021 r.,
w wigilię wspomnienia
św. Franciszka Salezego

[1] Hiszpański dziennikarz, ur. 1920 r.,
zm. 1971 r., beatyfikowany w 2010 r.

[2] W. SHAKESPEARE, «Kupiec wenecki», akt I, scena I (tłum. M. Słomczyński).

[3] Kazanie 360/B, 20.



У нас на Волюніу - У нас на Волині

«НАГОРОДА ВІЧНА»



У руках тримаю книгу. Та що там книгу, книжечку, стару й затерту. Чорними нитками хтось дбайливо її прошив. Значить, важлива книжечка, хотіли зберегти... Вдивляюся, аж доки розумію, що на чорній палітурці, вже дуже тьмянній від часу, витиснутий хрест. Якась богослужбова, спало мені на думку. Горгаю – в центрі пожовтілої від літ сторінки бачу лише два надрукованих слова: «NAGRODA WIECZNA». «Нагорода вічна» – перекладаю і відчуваю, ніби мурахи повзуть по моєму тілу. «Нагорода вічна», – повторюю, і купа думок та запитань одночасно штурмують мою голову. Лише два цих слова вкинули мене в небесну темну безодню, в якій інколи проблискують зорі і я лечу, лечу вгору в тому безкінечному вирі. Такі відчуття вже були, та дуже давно, ще в дитинстві. Коли влітку в бабусі ночувала на вишках серед пахучого сіна, і через відчинене вікно вдивлялася

у нічне зоряне небо, що величезним луговим килимом із яскравих кульбаб застелив небозвід над чорним силуетом гори Велендівки. Лежиш і вдивляєшся у ту безмежну даль, у ту неймовірну височінь і вона ніби затягує у вічність...

Ще одна перегорнута сторінка повертає мене на землю і розповідає, що це книга молитв і духовних пісень, виданих у Кракові у 1908 році. У голові швиденько зроблені обрахунки і поволі, мов на дисплеї монітора з'явився результат – сто дванадцять років. Стара.

«Чиї руки тримали її, гортали ці затерті сторінки, хто вклав маленьку паперову закладку на 182 сторінку із зображенням малого Ісуса, що годує голубів, хто?» – запитую себе та горгаю далі. О Боже! Та тут ще квіточка, засушена квіточка лежить між сторінками! Збереглася, стільки літ лежала закладкою в молитовничку і збереглась до сьогоднішніх днів! Якийсь внутрішній щем охопив мене.

Людино! Хто ти? Знаю точно, жінка чи дівчина, що змусила мене задуматися та зануритися у глибину минулого: уявляти її, коли йде берегом понад Вілією на службу Божу до Шумського костелу з квіткою в руках. Сьогодні ця квіточка, це столітнє послання з минулого, щиро порадувало та глибоко вразило мене, музейного працівника, ще раз змусило задуматись і над своїм життям.

У руках маленька книжечка, але скільки у ній змісту і хвилювань - бо вона про Бога, вона про Вічне, вона про Життя...

Лариса Колесник

Життя Коścioła - 3 життя Церкви

KOMUNIKAT BISKUPÓW RZYMSKO-KATOLICKIEGO KOŚCIOŁA W UKRAINIE Z OKAZJI 30-TEJ ROZNIICY ODNOWIENIA STRUKTUR KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W UKRAINIE

Римсько-Католицька Церква в Україні
КОНФЕРЕНЦІЯ ЄПІСКОПІВ



Ecclesia Romano-Catholica in Ucraina
CONFERENTIA EPISCOPORUM

Czcigodni Kapłani i Osoby Życia
Konsekwowanego!

Umiłowani Bracia i Siostry!

Trzydzieści lat temu, 16 stycznia 1991 roku, św. Jan Paweł II odnowił struktury Kościoła Katolickiego w Ukrainie. Wydarzenie to, zwróciło uwagę całego świata na grono odważnych ludzi: kapłanów, żyjące w ukryciu osoby zakonne oraz wielką rzeszę wiernych świeckich, którzy podczas komunistycznego prześladowania Kościoła i wiary, podjęli pracę duszpasterską i troskę o losy Kościoła. To oni byli znakiem prawdy, sprawiedliwości, pokoju i prawości życia. To oni przechowali depozyt wiary, na którym można było odbudować wspólnotę Kościoła.

Papieska decyzja sprzed trzydziestu lat, była uszanowaniem ich heroicznej postawy, z jaką bronili wiary i Kościoła. Dzisiaj, jako wolna wspólnota Kościoła, oddajemy należny im szacunek, pochylamy się nad świadectwem ich wiary, zdając

sobie sprawę, że są fundamentem i kamieniem węgielnych, na którym budujemy od trzydziestu lat współczesne życie Kościoła. Dlatego powinniśmy być świadomi odpowiedzialności, jaka ciąży na naszych ramionach, aby nie zmarnować ich ofiary i poświęcenia. To jest nasza przeszłość i tożsamość. To jest nasze wczoraj, bez którego nie byłoby teraźniejszości ani przyszłości. Budujemy, zatem wspólnotę Kościoła na mocnym fundamencie męczeństwa i poświęcenia tak wielkiej rzeszy świadków wiary i nie wolno nam zmarnować tego dziedzictwa, gdyż wówczas Bóg mógłby zapomnieć o nas i odwrócić swoje Miłosierne Oblicze.

Odważna decyzja św. Jana Pawła II, której trzydziestą rocznicę świętujemy, to nie tylko inicjatywa o charakterze administracyjnym. Odrodzenie Kościoła posiada bowiem charakter głęboko teologiczny i oznacza, że Ciało Mistyczne Chrystusa, przywraca do regularnej funkcji na-

rzędzia łaski, które dają zbawienie. Aby mogła funkcjonować wspólnota Kościoła, papież przywrócił do życia metropolię lwowską, ustanawiając jej pasterzem zmarłego w zeszłym roku Księdza Kardynała Mariana Jaworskiego, oraz dwie diecezje: kamieniecko-podolską i kijowsko-żytomierską, mianując dla nich biskupów. Diecezja kamieniecko-podolska otrzymała świętej pamięci Biskupa Jana Olszańskiego, a diecezja kijowsko-żytomierska Księdza Biskupa Jana Purwińskiego. Archidiecezja lwowska otrzymała również dwóch biskupów pomocniczych – Ojca Rafała Kiernickiego i Marcjana Trofimiaka. Na ich ramionach spoczęła wielka odpowiedzialność za losy Kościoła w Ukrainie. Dzisiaj dziękujemy im za spełnienie oczekiwań i ofiarną posługę.

Decyzja św. Jana Pawła II otworzyła przed wieloma drogę powołania kapłańskiego i zakonnego. Dla kształcenia nowych kapłanów, biskupi powołali w swych diecezjach Wyższe Seminarium Duchowne we Lwowie, Gródku Podolskim i Worzelu. Po dzień dzisiejszy są one dla Kościoła cennym darem zapewniającym ciągłość posługi kapłańskiej. W odnawiającym się Kościele znaleźli również miejsce kapłani z Polski oraz licznie powracające Zakony i Zgromadzenia Zakonne, tak męskie, jak i żeńskie.

Rozwijający się Kościół potrzebował nowych diecezji, dlatego w późniejszym czasie, powołane zostały do życia kolejne: w Łucku, Charkowie, Odessie i na Zakarpaciu w Mukaczewie.

Drodzy Bracia i Siostry!

Wspominam ten dziejowy moment, aby przypomnieć wszystkim, jaka była droga ku wolności. Wyrosło, bowiem już pokolenie nie pamiętające tamtych czasów, co nie znaczy, że nie powinno o nich wiedzieć i nie doceniać w swoich diecezjach

tych, którzy pozostaną na zawsze we wdzięcznej pamięci. Pięknie podkreślił tę pamięć św. Jan Paweł II podczas swej pielgrzymki do Ukrainy, gdy powiedział: „Pragnę złożyć hold wam wszystkim, drodzy kapłani, zakonnicy i zakonnice, którzy pozostaliście wierni temu Ludowi Bożemu. Do was zaś, którzy teraz stojecie u boku tych ofiarnych sług Ewangelii i staracie się kontynuować ich misję, mówię: nie lekajcie się! Chrystus nie obiecuje łatwego życia, ale zawsze zapewnia nam swoją pomoc”. A przed odlotem do Rzymu, na lotnisku we Lwowie dopowiedział: „Upraszam Boga mocnego i sprawiedliwego o wszelkie błogosławieństwo dla dzieci twej ziemi, po stokroć skrwawionej, ziemi niegdyś okrytej chwałą”.

Niech więc odnowiona przed trzydziestu laty droga wiary pozostanie na zawsze pobłogosławiona mocą Bożą i uświęcona świadectwem naszego życia, aby Kościół w Ukrainie był spełnieniem słów Jezusa: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia” (J 8,12).

Lwów, 16 stycznia 2021 rok
Nr 6/2021

✠ **Mieczysław Mokrzycki**
Arcybiskup Metropolita Lwowski
p.o. Przewodniczącego Konferencji
Episkopatu Kościoła
Rzymsko-Katolickiego w Ukrainie



Świadectwo - Свідчення

ŚP. KARD. MARIAN JAWORSKI. KSIĄŻĘ ODRODZONEGO KOŚCIOŁA LWOWSKIEGO

– Po św. Janie Pawle II to dla mnie druga ważna postać – nauczyciela wiary i cierpliwego znoszenia cierpienia – mówi o zmarłym kardynale ks. Witold Józef Kowalów.

Ten pochodzący z Podhala kapłan przysłego hierarchę poznał w swojej rodzinnej parafii św. Marii Magdaleny w Poroninie, gdzie młody ks. Jaworski był wikariuszem w latach 1952-1953.

– Był to bardzo trudny czas, szczytowy okres stalinizmu w Polsce. Represje dotknęły wówczas proboszcza parafii w Poroninie ks. Jana Krupińskiego. Ksiądz Jaworski stał się wtedy jego oparciem. Gdy proboszczowi zakazano uczyć religii w Gliczarowie Górnym, automatycznie katechetą został wikariusz. W późniejszych latach ks. Marian przynajmniej raz w roku odwiedzał Poronin – opowiada ks. Kowalów, który na strychu starej plebanii znajdował później różne rzeczy należące do ks. Jaworskiego: archiwalne numery «Tygodnika Powszechnego» z 1952 i 1953 r. podpisane przez listonosza «X. M. Jaworski», maszynopis jego pracy doktorskiej (jej temat to «Wartość prób aprioryczno-racjonalnego dowodzenia zasady przyczynowości u Józefa Geysera») oraz kalendarzyk z osobistymi notatkami z 1947 roku. Te pamiątki oddał on ks. Jaworskiemu w czasie jego biskupich prymicji w parafii w Poroninie w 1984 roku.

W swoim księgozbiorniku ma z kolei wiele książek (w tym po rosyjsku) z autografem lub pieczętką «ks. Marian Jawor-



Śp. kardynał Marian Jaworski

Fot. YouTube

ski», które również znalazł na strychu plebanii przed jej rozbiórka i wyburzeniem.

– 24 maja 1984 r. dotarła wiadomość o mianowaniu ks. Jaworskiego biskupem tytularnym Lambesis i administratorem apostolskim archidiecezji lwowskiej w Lubaczowie. Na jego konsekrację 23 czerwca 1984 r. na Wawel pojechał autobus parafian poronińskich. Ja też. Byłem wtedy licealistą w Zakopanem. Dwa lata później wstąpiłem do Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Krakowskiej, gdzie bp prof. Jaworski był moim nauczycielem (wykładał metafizykę) i rektorem uczelni – Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Były to trudne czasy, czego symbolem było, że komuniści cenzurowali w prasie nawet nazwę tej uczelni, ponieważ przez wiele lat nie uznawali faktu jej istnienia – wspomina ks. Kowalów.

16 stycznia 1991 r. w katedrze na Wawelu, już jako kleryk, dowiedział się o odnowieniu hierarchii katolickiej na Ukra-

inie i mianowaniu bp. Jaworskiego arcybiskupem metropolitą lwowskim. Rok później poprosił zaś abp. Jaworskiego o przyjęcie go do pracy w archidiecezji lwowskiej. – Gdy na początku czerwca 1992 r. ks. Jan Łasut odwiózł mnie do Lwowa, arcybiskup na dwa dni przyjął mnie do swojego ciasnego mieszkania przy ul. Kwitki-Osowanjanenka, skąd zabrał mnie do Łucka ks. Ludwik Kamilewski – opowiada ks. Kowalów.

W latach 1996-1998 abp Jaworski pełnił obowiązki administratora apostolskiego odnowionej diecezji łuckiej. W tym czasie, w latach 1995-1997, z nominacji abp. Jaworskiego ks. Kowalów brał udział w pracach Synodu Archidiecezji Lwowskiej i Diecezji Łuckiej. Z terenu Wołynia, razem z ks. Markiem Gmitrzukiem z Łucka, był z kolei członkiem komisji głównej synodu.

– Pamiętam, jak w latach 1992-1998, biorąc udział w kongregacjach kapłańskich we Lwowie, abp Jaworski wielokrotnie wspominał swoją pracę w Poroninie. Mówił m.in., że bardzo ważne jest, by ludzie widzieli proboszcza spacerującego z wikariuszem (by było jasne, że panuje między nimi zgoda), mówiąc, że tak robił z nim ks. Krupiński w Poroninie. Zawsze też interesował się, co słychać w Poroninie, i prosił, by pozdrowić proboszcza oraz parafian, których pamiętał – zaznacza ks. Kowalów.

W czasie jego pracy w Ostrogu abp Jaworski 24 czerwca 1995 r. poświęcił odbudowaną kaplicę Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Później w krypcie pod nią zostały powtórnie pochowane doczesne szczątki bp. Franciszka Komornickiego, który był tam proboszczem w latach 1773-1780 i sufraganiem łuckim w latach 1774-1780. Powtórnemu pogrzebowi przewodniczył abp Jaworski. Następnego dnia w rzymskokato-

lickim kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu arcybiskup poświęcił z kolei zabytkowy ołtarz Matki Bożej z XVIII w., pochodzący z kościoła w Międzyrzeczu Koreckim. Tego dnia abp Jaworski świętował 45. rocznicę święceń kapłańskich.

– Jakim był człowiekiem i kapłanem? Kardynał Jaworski potrafił skarcić i zarazem po ojcowsku dodać otuchy. W tym samym dniu skrytykował mnie za jedną z publikacji, podjął własnoręcznie zaparzoną kawę i mianował korespondentem «Gazety Parafialnej» w Kijowie – uśmiecha się ks. Kowalów. – Nie sposób wyrazić wszystkiego, co niosła za sobą posługa Mariana Jaworskiego – księdza, uczonego filozofa, profesora, biskupa, arcybiskupa, kardynała, wreszcie emeryta. Po św. Janie Pawle II jest to dla mnie druga ważna postać – przewodnika, nauczyciela wiary i cierpliwego znośnienia cierpienia, świadka odrodzenia Kościoła lwowskiego. Był księciem tego Kościoła – podkreśla ks. Kowalów.

ks. Witold Józef Kowalów

Źródło:

«*Śp. kard. Marian Jaworski. Księżę odrodzonego Kościoła lwowskiego*» // <https://krakow.gosc.pl/doc/6509980>. Sp-kard-Marian-Jaworski-Ksiazka-odrodzonego-Kosciola-Lwowskiego



Historia Kościoła na Wschodzie - Історія Церкви на Сході

SIOSTRY EUCHARYSTKI W SOWIECKIM KAZACHSTANIE

Bogactwem współczesnego Kościoła katolickiego w Kazachstanie jest różnorodność żeńskich zgromadzeń zakonnych. Obecnie siostry można spotkać niemal w każdym zakątku Kazachstanu. Każde z zakonów i zgromadzeń ubogaca Kościół i przyczynia się do rozszerzania wiary. Od życia kontemplacyjnego za murami klasztoru poprzez działalność wśród najuboższych oraz posługę katechetyczną i opiekunczą, siostry wpisują się w krajobraz Kościoła w Kazachstanie. Należy jednak pamiętać, że możliwość przybycia sióstr otworzyła się dopiero po ogłoszeniu przez Kazachstan niepodległości.

Za czasów, kiedy Kazachstan był jednym z elementów Związku Sowieckiego, oficjalna działalność sióstr była zabroniona, a one same działając w podziemiu były prześladowane. Przykładem tego są wielu dobrze znane siostry Eucharystki.

Zgromadzenie Sióstr Służebnic Jezusa w Eucharystii – tak brzmi pełna nazwa Zgromadzenia, zostało założone w 1923 roku przez bł. Jerzego Matulewicza ówczesnego ordynariusza diecezji wileńskiej. Celem Zgromadzenia miało być szerzenie oświaty i podniesienie poziomu życia religijnego katolików mieszkających na wschodnich kresach Polski. Do zgromadzenia Ojciec założyciel chciał przyjmować przede wszystkim dziewczęta pochodzące z tamtych terenów, znające miejscową mentalność, co miało ułatwić siostrom pracę w tamtym środowisku. Pierwszy dom formacyjny znajdował się w miejscowości Drui leżącym w województwie wileńskim. Po zakończe-

niu drugiej wojny światowej i po zmianie granic, część sióstr wróciła do Polski, a te które postanowiły zostać w ZSRS, zostały umieszczone w trzech placówkach: Drui, Braślawiu i Słobódce. W 1949 siostry z Drui przez władze sowieckie zostały wypędzone, a Zgromadzenie zostało rozwiązane. Siostry przeszły do pracy podziemnej mieszkając razem w małych wspólnotach w różnych częściach Związku Sowieckiego.

Do Kazachstanu siostry Eucharystki dotarły w 1976 roku, wtedy zamieszkały w Karagandzie i Celinogradzie (Nur Sułtan), a w roku 1977 także w Kustanaju.

Siostry zajmowały się przygotowaniem dzieci, młodzieży oraz dorosłych do przyjęcia sakramentów chrztu, komunii św., spowiedzi. Wraz z kapłanami wyjeżdżały do okolicznych miejscowości, aby gdy kapłan spowiadał prowadzić katechezę. Były także organistkami i zakrystiankami dbając o czystość i bieliznę kościelną. W Karagandzie siostry prowadziły podziemną katechezę przez cały rok. Przepisywały katechizm po rosyjsku i po niemiecku rozdając go zainteresowanym osobom.

Tak tajną posługę katechetyczną wspominała siostra Roza Schmidlein:

„W 1983 roku, w lecie przyjechał na krótko ks. Jan Bielecki i bardzo prosił, aby któraś z sióstr (z Celinogradu) przyjechała do wsi Izobilnoje i przygotowała tam dzieci do I Komunii św. Ponieważ miałam jeszcze 4 dni urlopu, s. przełożona (Eugenia Gening) pozwoliła mi na wyjazd, choć to bardzo przeżywała. Od miasta do



Siostry Eucharystki z arcybiskupem Janem Pawłem Lengą

Fot. Archiwum

wsi trzeba było iść 8 km przez step. Dojechałam więc do miasta i dalej szłam pieszo. Ktoś jadący samochodem zatrzymał się i zawiózł mnie do wsi. Tam zaczęłam szukać rodziny, do której skierował mnie ksiądz. Okazało się, że było tam wiele rodzin o takim samym nazwisku, ale wkrótce znalazłam właściwą. Byli to starsi, bardzo pobożni ludzie, przy których pomocy można było rozpocząć pracę. Wkrótce o moim przyjeździe dowiedziała się cała wieś i zaczęły się zbierać dzieci, dorośli, starszycowie. Te przewidziane cztery dni były wypełnione programowymi zajęciami od świtu do nocy. Lekcje przedłużały się do 2 godzin bez przerwy, po 4 grupy dziennie. W przerwach i wieczorami były rozmowy z dorosłymi. Były dzieci, które uciekały od rodziców i po kryjomu przychodziły, by uczyć się modlitwy, albo też nalegały na mamę, aby odnalazła katechizm.

Konspiracja była absolutna. Każde dziecko rozumiało to doskonale. Zajęcia

odbywały się każdego dnia w innym domu. (...)

Tak minęły cztery pełne dni. Nikt nie wiedział kim jestem, skąd przyjechałam i jak się nazywam”.

W tajemnicy przed władzami w ich domach zbierali się ludzie wierzący na wspólnej modlitwie różańcowej, za zgodą kapłanów udzielały komunii św., a w niedziele, gdy nie było kapłana, wszystko było przygotowane jak do Mszy św. Siostry oraz zaufane osoby odmawiały po kolei modlitwy mszalne, by choć tak przeżyć Dzień Pański. W domach sióstr przechowywano zawsze Najświętszy Sakrament.

Aby nie budzić podejrzeń, siostry pracowały albo uczyły się w szkołach. Były między innymi pielęgniarkami, pracowały w aptece.

Mimo zachowania wszelkich środków ostrożności, (siostry chodziły bez habitów), na nabożeństwa starano się zapraszać tylko zaufane osoby, siostry były pod

obserwacją KGB i doświadczały różnych represji i prześladowań.

Kiedy od 1980 roku w Celinogradzie pracował ks. Bolesław Babrauskas, z którym siostry współpracowały, to zarówno on jak i siostry były pod stałym nadzorem „aniołów stróżów”, którzy od świtu do nocy obserwowali ich dom. Prześladowania nasiliły się we wrześniu 1984 roku, kiedy władze zabroniły księdzu dalszego wykonywania posługi zmuszając go do wyjazdu. W kościele regularnie wybijało szyby. Siostry bojąc się rewizji usunęły z domu wszystko co mogłoby być powodem do ich oskarżenia. Zdarzyło się również, że także siostronom wybijało szyby. Innym razem zjawiała się kobieta pod pretekstem obliczania powierzchni mieszkaniowej, lecz było widać, że szuka kaplicy. (Najświętszy Sakrament, był schowany w jednej ze szufladek szafonierki). W domu założono siostronom podsłuch. Pewnej nocy o 24.00 ktoś rzucił kamieniem na blaszany dach. Siostry bały się wyjść by zobaczyć co się stało. O 1.00 w nocy w całej okolicy nie było prądu, a na dom sióstr spadł grad kamieni, który powybił wszystkie szyby i o mało nie uszkodził dachu.

Także w miejscach pracy siostronom nie dawano spokoju. Przychodziły do nich różnie osoby grożąc rewizją, oskarżając siostry o współpracę z zagranicą. Na temat sióstr próbowano się także czegoś dowiedzieć od osób, które z nimi pracowały. Próbą wydobycia jakiejś informacji od sióstr było zatrudnienie się przez jednego z pracowników KGB w instytucji, gdzie pracowała s. Roza Schmidlein, aby przez częste kontakty w pracy uzyskać od niej interesujące dane.

W Karagandzie milicja kilkakrotnie próbowała przeprowadzić rewizję w domu sióstr. Za pierwszym razem to się nie udało, gdyż milicjanci pomylili domy

i weszli do sąsiadów sióstr. Jednak już w 1982 roku rewizja doszła do skutku. Znalezione wtedy Najświętszy Sakrament, a siostry zostały ukarane grzywną. Siostra Franciszka Buls otrzymała 50 rubli grzywny, s. Maria Feist – 30 rubli, a s. Helena Ryży – 20 rubli. Udzielono im także ostrzeżenia, aby się nie zbierały razem, w wyniku tego siostra Maria i Helena przez pewien czas ukrywały się u swoich rodziców, gdyż dom sióstr był pod obserwacją.

Mimo prześladowań, zgromadzenie sióstr Eucharystek nie tylko przetrwało w podziemiu, ale również rozwijało się przez nowe powołania zakonne także z Kazachstanu. Dzięki posłudze sióstr wiele osób mogło przygotować się do przyjęcia sakramentów, a księża mieli wsparcie w pracy duszpasterskiej.

Mimo zakazów władz, Jezus Chrystus utajony w Najświętszym Sakramencie błogosławił i błogosławi kazachskiej ziemi i jej dzieciom.

ks. Błażej Michalewski

Na podstawie:

s. Halina Strzelecka SJE, «Początki Zgromadzenia Sióstr Służebnic Jezusa w Eucharystii (1923-1945)» [w:] «*Studia historii Kościoła w Polsce*» t. VIII, Warszawa 1987.

s. Halina Strzelecka SJE, «*Służebnice Jezusa w Eucharystii na terenach Związku Radzieckiego w latach 1945-1991*», Warszawa 1994.

s. Janina Samolewicz SJE, «*Losy sióstr eucharystek na terenach ZSRR*», [w:] «*Żeńskie zgromadzenia zakonne w Europie Środkowo-Wschodniej wobec totalitaryzmu komunistycznego*», Warszawa 2012.



Dziedzictwo - Спадщина

RZEŹ KOLONII GUCIN NA ZIEMI WŁODZIMIERSKIEJ

Kolonia Gucin położona była w gm. Grzybowica, pow. Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Należała do kat. parafii we wsi Zabłocce, gdzie był mурowany, barokowy kościół pw. Świętej Trójcy. Wierni mieli do kościoła ok. 9 km drogą. Gucin była to niemała gromada polska licząca ok. 35 polskich rodzin, tj. ok. 170 osób oraz kilka rodzin ukraińskich i mieszanych [1]. Miejscowość rozłożona była w trzech liniach. W pierwszej linii do lasu mieszkali Polacy, na drugiej linii też Polacy, natomiast w trzeciej linii mieszkały dwie polskie rodziny: Mochnaczewscy oraz Marmurowscy, reszta rodzin to ukraińskie [2].

Ludzie żyli pobożnie, pocziwie i zgodnie! Wielokulturowa sielanka wołyńska skończyła się z początkiem wojny ale wciąż dawała żywą nadzieję na spokojne przetrwanie b. ciężkiego czasu okupacji w pierw sowieckiej (1939-41), a potem hitlerowskiej (1941-44). Okrutny los Żydów wołyńskich zgładzonych do ostatniego (1941-43), niestety także nie obudził polskiej czujności. Nawet coraz częściej dochodzące wieści o krwawych napaarach na rodziny polskie nic tu właściwie nie zmieniło, a absolutnie powinno. Brakowało wojskowego doświadczenia i naturalnie broni, a nadto miejscowi Ukraińcy uspokajali Polaków, swoich sąsiadów i często kumów, że nic im nie grozi. [3] To wszystko miało swoje bezpośrednie przełożenie na faktyczny brak zorganizowanej samoobrony w tej kolonii.

Wspomina Pan Władysław Kuczek z kolonii Gucin: „*Ojciec mój Jan Kuczek, z wykształcenia felczer prowadził, jako*

osadnik cywilny niewielkie gospodarstwo rolne. Wobec narastającego zagrożenia ze strony band ukraińskich niejednokrotnie zastanawiał się czy nie przenieść się w jakieś względnie bezpieczniejsze miejsce, choćby do Włodzimierza. Był jednak wielokrotnie zapewniany przez miejscowych Ukraińców, że nic mu nie grozi, choćby ze względu na liczne zasługi i świadczenia lekarskie, które czynił nader często bezinteresownie, także w stosunku do Ukraińców. Nie uchroniło go to od śmierci, kiedy miał miejsce napad. Miejscowi Ukraińcy nie brali bezpośredniego udziału w wymordowaniu mieszkańców Gucina, ale też nie zrobili niczego, aby do tego nie dopuścić” [4].

ZARYGLOWALI DRZWI KUŹNI OBLALI BENZYNĄ I PODPALILI

Niebezpieczna gra mieszkańców Gucina na przeczekanie skończyła się b. tragicznie w „*Krwawą Niedzielę*” 11 lipca 1943. O świcie kilkuset osobowa grupa nacjonalistów ukraińskich dokonała napadu. W pierwszej kolejności cała kolonia została otoczona przez uzbrojonych upowców. Następnie b. wielu mieszkańców oprawcy przemocą spędzili do starej, nieużywanej kuźni w gospodarstwie Jana Krzyszta. Drzwi zaś zarygłowano, oblano obficie benzyną i podpalono. Pośród dantejskich scen w palącej się kuźni, kilku mężczyzn udało się zrobić wyłom w ścianie i część ludzi uciekła pod osłoną kłębow dymu, kryjąc się w pobliskim łanie żyta. Większość jednak zginęła w płomieniach. [5]

Wspomina pan Alfons Krzyszta z Wrocławia: „*11 lipca 1943 r. kolonia*

Gucin została niespodziewanie otoczona przez uzbrojoną bandę nacjonalistów ukraińskich. Ponieważ była to niedziela, większość Polaków przebywała w tym czasie w swoich domach. Po kolei do każdego domu wchodziło po kilku oprawców i całe rodziny nie wyłączając nawet dzieci wypędzono z domu i pędzono do starej, nie używanej już kuźni, położonej przy drodze w gospodarstwie Jana Krzyszta. Kiedy wtargnęli do mieszkania Piotra Traczykiewicza, żona jego Maria, nie chciała wyjść z domu, wtedy na oczach męża i córki Czesławy została zarąbana siekierą na progu mieszkania. Śmierć matki widziała również jej córka Apolonia, która ukryła się w niezauważonej piwnicy, naprzeciw drzwi mieszkania. Kiedy nacjonałiści zgromadzili w kuźni wszystkich ludzi, zaryglowali drzwi, obłali benzyną i podpalili, a następnie zaczęli strzelać. Pod naporem żywych jeszcze mężczyzn zrobił się wyłom w ścianie i ludzie zaczęli uciekać. Kilku osobom, których kule nie dosięgły udało się uciec, a między nimi, uciekło troje dzieci Jana Krzyszta, które pełzając pod kłębami dymu, nie zauważone weszły do graniczącego lanu żyta. Drugiego dnia głodne i przerażone wyszły i zostały zauważone przez starą Ukrainkę, która mieszkając na uboczu pod lasem, zaopiekowała się nimi. Po pewnym czasie nacjonałiści zrobili drugi nalot i wykańczali małżeństwa mieszane. W rodzinie Marmurowskich zięć Ukrainiec zamordował swoją żonę i dwoje dzieci, bo taki był warunek przyjęcia go do OUN. Pawła Burdę ożenionego z Ukrainką oprawcy oszczędzili, ale zmusili go do oglądania mordów i grzebania pomordowanych. Jego zamordowana matka leżała na drodze tratowana przez konie i ludzi. Mordercy nie pozwolili mu usunąć z drogi ciała matki. Niedługo potem ostrzeżony przez starego Ukraińca o grożącym mu niebezpieczeństwie uciekł

wraz z żoną do Włodzimierza Wołyńskiego. Przyszli także do starej Ukrainki, która ukrywała dzieci Krzyszta, grożąc, że w razie sprzeciwu wydania ich, zamordują ją, a dzieci i tak zabiją. Wobec przemocy kobieta uległa i wydała troje dzieci, które żywcem wrzucono do studni, przed ich własnym domem. Z rodziny Traczykiewiczów uratowała się Apolonia, która po wyjściu z piwnicy ukryła się w łanie zboża. Tam znalazła ją Ukrainka o nazwisku Muzyka i zaopiekowała się nią, udzielając schronienia. Wkrótce jednak doradziła dziewczynie aby uciekała dalej, gdyż tu czeka ją wcześniej czy później niechybna śmierć. Syna tej starszej kobiety nacjonałiści zamordowali za to, że nie chciał z nimi mordować Polaków. Apolonia mieszka obecnie w Szczepreszynie i jest jednym, z nielicznych już dziś, świadków tragedii mieszkańców kolonii Gucin” [6].

Szczególną ofiarę poniósł też Polak Jan Koch syn Józefa i Bronisławy z d. Marmurowska, jego żona Aleksandra z d. Kossowska (1920-1941, zmarła przy porodzie Bogusia). Jan został przywiązany do studni i zadźgany sztyletami, a półtoraroczny Boguś (sierota) został przecięty na pół. Kochowie byli potomkami Jana Jakuba i Katarzyny z d. Hausner (zm. 29.03. 1893 r. w Falemiczach), osadników galicyjskich przybyłych na Wołyń z osady Fehlbach (Kobylnica Ruska). [7]

BANDEROWCY PRZYWIĄZUJĄ SWOICH DO DRZEW I OBCINAJĄ IM KOŃCZYNY

Makabryczne sceny miały też miejsce w tzw. mieszanej części kolonii Gucin, gdzie banderowcy dopuścili się diabolicznych zbrodni nawet na swoich rodakach, wstawiających się za niewinnymi Polakami. I to właśnie owi Sprawiedliwi Ukraińcy są prawdziwymi, a nie malowanymi bohaterami współczesnej Ukrainy i Cer-

kwi grecko-katolickiej, to również wieczni i nigdy niezapomniani męczennicy Wołynia i Kresów. W wiekopomnym dziele Władysława i Ewy Siemaszko pt. „*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*” czytamy: „[...] *Drugim miejscem mordu była stodoła Jachyma (Jachima?), do której upowcy spędzili Polaków mieszkających od strony wsi Myszków (gm. Grzybowica), tj. ok 15 rodzin. Część Polaków zginęła w różnych miejscach na terenie wsi. W Gucinie byli również mordowani Polacy z sąsiedniej wsi Myszków. Mienie zostało zrabowane, a domy rozebrane i wywiezione. Szacuje się, że zginęło 140 osób, mieszkańców Gucina i Myszkowa. Zwłoki zostały zakopane w trzech zbiorowych mogiłach, znajdujących się obecnie na polach kołchozowych*” [8].

Mocną i ciekawą relacją o Rzezi w mieszanej części kolonii Gucin, zamieścił także Tomasz Zdunek w artykule pt. „*Wykosimy wszystkich Lachów po Warszawie*”. Czytamy w niej: „[...] *Niedziela, 11 lipca 1943 roku. Pada deszcz. Ojciec Józefa Ostrowskiego, nastoletniego chłopaka, nie obawia się partyzantów z UPA. Owszem, jest Polakiem, jednak urodził się na Wołyniu i mieszka tu całe swoje życie. Nawet jego syn Józef nie umie poprawnie mówić po polsku. Każdy dzień przynosi informacje o kolejnych rzeziach na Polakach. Banderowcy mogą zjawić się o każdej porze. Ojciec Józefa przez chwilę waha się, czy nie wyjechać, jak jego sąsiedzi. Jednak do pozostania namawiają go ukraińscy znajomi, którzy zapewniają, że żadna krzywda mu się nie stanie.*

Ranek. Banda Ukraińców napada na polską wieś Gucin. Wpadają do domu sąsiadów. Cała rodzina jeszcze śpi. Rodzice zostają zakłuci jeszcze w łóżku. Córka posiekana nożami. Wnętrznosci wypływają na wierzch. Najmłodszy syn umiera

przybity do podłogi drewnianym kolkiem w brzuch. Józefa budzi krzyk. Ojciec każe mu uciekać do pobliskiego lasu. Sam pakuje najpotrzebniejsze rzeczy i szykuje się do uciezki. Matka i młodsza siostra płaczą.

Sąsiedzi z gospodarstwa obok kryją się w stodole. Mają dwójkę synów. Ze starszym Józef chodzi do szkoły. Młodszy ma zaledwie rok. Banderowcy przeszukują ich dom. Wybiegają na podwórko. Muszą znaleźć każdego Polaka. Dziecko zaczyna płakać. Matka próbuje je uciszyć. Za późno. Partyzanci zamykają stodołę i podkładają ogień.

Józef jest już za domem. Czeka na rodzinę. Banderowcy przychodzą i po nich. Wyciągają jego ojca, matkę i siostrę z domu. Na ich podwórze przybiegają ukraińscy sąsiedzi. Wstawiają się za jego ojcem. Józef ukrywa się w ogrodzie. Jego rodzina zostaje spalona żywcem. Sąsiadów bandyci przywiązują do drzew, obcinają im – jako zdrajcom – kończyny.

Kilka godzin później jest już po wszystkim. Banderowcy wsiadają na furmanki i jadą dalej. Pozostawiają za sobą spalone domy i ciała pomordowanych. [...]” [9]

Dużą ofiarę poniosły także rodziny polskie Mochnaczewskich i Marmurowskich. Zamordowany został Karol Mochnaczewski s. Adolfa i Marii z d. Bobrowska, jego żona Janina z d. Trochimowicz z Antonówki, córka Marii z d. Pielecka, oraz syn Wiesław (1928-1943). Rodzina Mochnaczewskich wywodziła się ze wsi Radowicze, gm. Werba. Janina miała wujka Adolfa w Orlechówce. Mieszkała tu ciotka Karola – Katarzyna Koch z d. Mochnaczewska, która w 1936 r. przepisała Karolowi to gospodarstwo. Z rzezi banderowskiej ocalał jedynie syn Bolesław. I właśnie z relacji Bolesława Mochnaczewskiego złożonej już po wojnie, znamy te fakty: „*Zanim nastąpił napad*

Ukraińców, Bolesław poszedł paść konie, a jego brat uganiał się za krowami. Jak Bolek wrócił do domu, to znalazł swoich bliskich już martwych, były to trzy osoby: mama Janina, tato Karol oraz ciocia Kasia Koch. Gdy zobaczył, że do sąsiada Marmurowskiego idzie siedmiu Ukraińców, uciekł do innego sąsiada – Ukraińca. Prosił go, że jak brat (Wiesław) wróci z krowami, to żeby ukrył go u siebie. Rankiem wrócił do swojego domu i znalazł przy studni ciało swojego brata. Ogółem wg relacji Bolesława Mochnaczewskiego we wsi Gucin zginęło 140 osób”.

Z rodziny Marmurowskich zamordowano tego dnia Marcelego, jego żonę Antoninę z d. Procajło i ich dwie córki. Na szczęście synowie: Józef i Ludwik zostali przez Bożę Opatrzność ocaleni i po wojnie osiedli w Zamościu [10].

Z rzezi wyratowała się z dziećmi przytomna Józefa Dul z d. Piszkało, żona Walentego. Mieszkali w murowanym podpiwniczonym domu, posiadali duże gospodarstwo wraz sadem, głównie owocowym. W czasie napadu Józefa ukryła dzieci w schronie pod lipą. Następnie przedostali się do Lwowa. Przeżycia oraz wychowanie patriotyczne, które nie poszło w las, sprawiły, że syn Stanisław ur. w 1922 (zmarł w 1982 r. Nowym Targu), wrócił na Wołyń i bohatersko walczył w szeregach 27 Wołyńskiej Dywizji AK, ps. «Narcyz», podobnie jego rodzona siostra Paulina 1926-2014, która była potem łączniczką w 27 WD AK. Jedynie siostra Władysława (1925-1973), została we Lwowie, a później przyjechała do kraju w ramach «repatriacji» [11].

MATKA LEŻAŁA NA DRODZE TRATOWANA PRZEZ KONIE I LUDZI

Niestety banderowcom mało było i tego ludobójstwa. Przyszła Ukraina miała być rasowo czysta, jak owa szklanka

wody. Miejsca dla Żydów, Lachów, Ormian, Rosjan, Czechów (oraz innych cudzoziemców tam już nie było). Po temu krwawy terror trwał przez natępne dni, tygodnie i miesiące w najlepsze. W wiekopomnym dziele Władysława i Ewy Siemaszko pt. „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945”, znów czytamy: „Pawła Bubę ożenionego z Ukrainką, oprawcy wprawdzie 11 lipca oszczędzili i zmusili go jedynie do oglądania mordów i grzebania pomordowanych, jednak wkrótce musiał uciec do Włodzimierza Wołyńskiego ostrzeżony przez starego Ukraińca. Jego zamordowana matka leżała na drodze tratowana przez konie i ludzi. Mordercy nie pozwolili mu usunąć z drogi ciała matki. [...] Uratowana przypadkowo Apollonia Traczykiewicz, córka Piotra i Marii lat 18, będąca świadkiem zamordowania swej rodziny, została przygarnięta w stanie szoku przez Ukraińca Petra Muzykę, nauczyciela i członka UPA. Został on zastrzelony ponieważ nie chciał jej wydać oprawcom. Wówczas jego matka w nocy przyprowadziła Apolonie Traczykiewicz do Iwanicz (gm. Poryck), gdzie była samoobrona i zgromadzeni uchodźcy” [12].

Wielu ludzi zginęło na kolonii Gucin podczas tych strasznych kainowych dni. Wiele nazwisk ustalił Władysław i Ewa Siemaszowie, podają je w swoim dziele. Tutaj wymieniam tylko te, które mi osobiście udało się odnaleźć w badanych źródłach, a zatem: Kuczek Jan lat 55, Kuczek Maria lat 50, Kuczek Maria lat 16, Kuczek Waclaw lat 29, Adamkiewicz Stanisław z 5-letnim synem. Cisek, Gałczyński, Koch Adam z żoną, Kosowski, Krzysztan Alfons lat 4, Krzysztan Henryk lat 5, Krzysztan Irena lat 8, Krzysztan Zdzisław lat 2, Krzysztan Zofia, matka, Małek, Mareczko Józef i jego rodzina, Michalik i jego rodzina – 4 osoby, Romanowski, Sławik, Tomczyk [13].



«Ja będę żył w kłosach zbóż
na Wołyniu»

Fot. Archiwum

Szacuje się zamęczonych mieszkańców kolonii Gucin i wsi Myszków na 140 osób. To zdjęcie to żadna przenośnia, to faktyczna, barbarzyńska rzeczywistość współczesnego Wołynia! Zwłoki zostały bowiem zakopane w trzech zbiorowych mogiłach, znajdujących się obecnie na polach pokolchozowych.

W podsumowaniu trzeba się zastanowić raz jeszcze nad bezpośrednią odpowiedzialnością za Rzeź niewinnych mieszkańców polskiej kolonii Gucin. Jó-



Prezydent RP Andrzej Duda złożył wieniec w miejscu nieistniejącej dziś polskiej wsi Pokuta na Wołyniu.

Fot. <https://www.prezydent.pl/>

zef Turowski i Władysław Siemaszko w swojej pracy pt. „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu, 1939-1945”, piszą iż wśród oprawców w Gucinie był dowódca bandy banderowców Alosza Kalińczuk, który po wojnie był sądzony w Lublinie i skazany na 15 lat więzienia [14]. Choć już we wspólnym swoim dziele z córką Ewą Siemaszko, Pan Władysław Siemaszko napisał: „Zidentyfikowanie morderców było niemożliwe, ponieważ zagłady ludności polskiej Gucina dokonywały bojówki UPA z dalszych miejscowości. Wprawdzie w napadzie na kolonię miejscowi Ukraińcy nie uczestniczyli, ale też nie zrobili nic, żeby nie doszło do rzezi” [15].

Nie ma jednak żadnych wątpliwości, iż byli to dobrze zorganizowani i dobrze uzbrojeni banderowcy, ci sami którzy dziś są państwowo i cerkiewnie bohaterami współczesnej Ukrainy. To woła wprost o pomstę dio Nieba! Gdzie bowiem prawda, gdzie sprawiedliwość, gdzie miłosierdzie względem ofiar uludobójstwa?! Mieszkańcy polskiej kolonii Gucin ginęli w Krwawą Niedzielę, już o świcie, zupełnie jak mieszkańcy Dominopola na Ziemi Swojczowskiej. Akcja przebiegła niemal wzorowo, mieli zginąć wszyscy i co

do jednego. Widać dowództwo UPA obawiało się tej mocnej społeczności i przewidziało wszelkie środki bezpieczeństwa, nie mogło być fuszerki ze strony zwykłych siekierników. Ta akcja miała zakończyć się powodzeniem, czyli masakrą mieszkańców Gucina. I tak się stało, tu Ukraińcy o dziwo okazali się raz jeszcze b. skuteczni i zaradni! Czy to z kolei raz jeszcze nauczy nas Lachów czegoś na przyszłość, czy może raczej znów nic nie wzrosnie, z tej niewinnej krwi męczeńskiej, która dziś żyje w żółtych łanach kłósów na pokończozowych polach na współczesnym Wołyniu?!

Sławomir Tomasz Roch

Przypisy:

[1] Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, «*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*», Warszawa 2000, Tom I, s. 828.

[2] <http://free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-g/gucin-10.html>

[3] Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, «*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*», Warszawa 2000, Tom I, s. 828.

[4] Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa, IV/16.

[5] Turowski Józef, Siemaszko Władysław, «*Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu, 1939-1945*», Warszawa 1990, s. 80-81.

[6] Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Warszawa, IV/14, IV/17, Turowski Józef, Siemaszko Władysław, «*Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu, 1939-1945*», Warszawa 1990, s. 80-81.

[7] <http://free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-g/gucin-10.html>

[8] Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, «*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*», Warszawa 2000, Tom I, s. 828.

[9] <https://wzzw.wordpress.com/2010/01/25/wykosimy-wszystkich-lachow-po-warszawie/>

[10] <http://free.of.pl/w/wolynskie/miejsca-g/gucin-10.html>

[11] Jak wyżej.

[12] Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, «*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*», Warszawa 2000, Tom I, s. 828-829.

[13] Sławomir Tomasz Roch, «*Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich popełnione na Polakach w powiecie Włodzimierz Wołyński w latach 1939-1944*», Praca Magisterska IH UW, maj 1997, s.156-159.

[14] Turowski Józef, Siemaszko Władysław, «*Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu, 1939-1945*», Warszawa 1990, s. 80-81

[15] Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, «*Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*», Warszawa 2000, Tom I, s. 828-829.



Być chrześcijaninem - Бути християнином

ŚWIĘTO CHORYCH W DIECEZJI ŁUCKIEJ W LATACH 30. XX WIEKU

„Światowy Dzień Chorego” ustanowiony został 13 maja 1992 r. przez św. Jana Pawła II. Papież, o czym może świadczyć w ostatnim czasie więcej się mówi, był przez całe swoje życie blisko osób chorych i cierpiących. Zajmowali oni w jego sercu miejsce zupełnie wyjątkowe. Ojciec św. niejednokrotnie doświadczał krzyża ciężkiej choroby; niósł ten krzyż niejako na oczach świata, ufny w jego promienną, przemieniającą, zbawczą moc. Poruszyło mnie wyczytane w jednym z wywiadów wspomnienie papieskiego fotografa i przyjaciela, Arturo Mari, z ostatniego Wielkiego Piątku 2005 roku. Ujrzał on, jak niemogący już mówić i cierpiący Ojciec św. w trakcie przeżywania drogi krzyżowej transmitowanej z Koloseum, przyjmuje podany mu krzyż w geście czulej miłości, patrzy na Chrystusa, przyciska krzyż do serca i opiera o niego głowę. Tyle tylko i aż tyle mógł zrobić... „Ewangelię cierpienia” przekazał nam w «*Liście Apostolskim o chrześcijańskim sensie cierpienia*» (1984).

W diecezji łuckiej święto chorych rozpoczęto obchodzić w niektórych parafiach już w połowie lat trzydziestych. Zachowało się kilka relacji zamieszczonych w „Życiu Katolickim”. Owcześnie warunki podpowiadały inne niż dzisiaj sposoby działania, ale zwraca uwagę, że było to wydarzenie angażujące niemal całą parafię, nie tylko osoby, które w jego zorganizowaniu brały największy udział, czyli członkinie z Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet (KSK).

Ks. redaktor Zygmunt Chmielnicki w pierwszym artykule poświęconym temu tematowi, „Święto chorych”, zamieszco-

nym w 25 numerze „Życia Katolickiego” z 1936 r. podkreślił wyjątkowe znaczenie tego dnia w życiu parafii. Zapowiedział w nim zorganizowanie święta w kościele pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika w Kowlu. Proboszczem ciągle jeszcze budowanego, ale już bliskiego ukończenia monumentalnego Kościoła – Pomnika Krwi i Chwały był wówczas jego drugi (i ostatni) budowniczy, ks. Marian Tokarzewski. Pisał ks. Chmielnicki: „*Dzień Najświętszego Serca Jezusowego, 19-go czerwca r. b., zasługuje na to, by go w dziejach ruchu religijnego w naszej diecezji podkreślić specjalnie. W dniu tym bowiem w Kowlu odbędzie się pierwsze u nas święto chorych*”. Dalej ks. Redaktor zapowiadał: „*to, co ma się odbywać w Kowlu, będzie prawdziwym świętem dla najniezwyklejszych. Z całego miasta zbiorą się do wspaniałej świątyni kowelskiej chorzy, którzy może lata mi nie opuszczali swoich domów. W kościele staną dla nich łóżka. Tu chorzy odbędą spowiedź św., przyjmą Komunię św., wysłuchają Mszy św. i kazania. Jezus, obecny w Najświętszym Sakramencie, jak to czynił za dni swego pobytu na ziemi w postaci widzialnej, obejście nieszczęśliwych w procesji, błogosławiąc ich i krzepiąc. Zebrani w kościele wierni połączą swoje modlitwy z modlitwami chorych. Tegoż dnia członkowie Akcji Katolickiej obejdą domy chorych ubogich, niosąc im w miarę możliwości i pomoc materialną. Będzie to więc naprawdę święto, wielkie święto czci Bożej, składanej Panu przez chorych, pogodzenia się ich z wolą Bożą, a zarazem święto miłości bliźniego, praktykowanej w czynie przez zdrowych.*”

Będzie to uroczystość uświęcająca, podnosząca dusze ludzkie ku Bogu. Serce Jezusowe, dobroci i miłości pełne, przygaranie do siebie tych, którzy tak bardzo dobroci i miłości potrzebują, a zarazem dobrocią i miłością dla nieszczęśliwych napełni serca ludzkie". Wyrażając nadzieję, że ten dzień stanie się inspiracją dla Stowarzyszeń Akcji Katolickiej do organizowania kolejnych dni chorych tak kończył artykuł: «chcemy, by o tym dniu wiedziało jak najwięcej wiernych, którzy, choć sami w Kowlu nieobecni, zanieśliby swe modły za zgromadzonych w kościele kowelskim chorych. [...] Liczny zastęp tych, którzy czytają te słowa, jest zjednoczony z Wami, drodzy chorzy kowelscy. Współczuje z Wami i modli się za Was. Nie jesteście sami. Troszczy się o Was myśl chrześcijańska, Wasz ból uważająca za własny. Troszczy się o Was ciało mistyczne Chrystusowe, Kościół święty, którego członkami jesteście, i który, jak ciało fizyczne, odczuwa ból każdego członka poszczególnego. Z Wami jesteśmy. Z całego serca Wam życzymy:

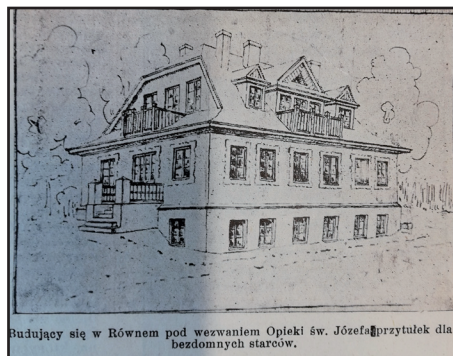
Niech Najśladzse Serce Jezusowe pocieszy Was, uzdrowi, pokrzepi, przede wszystkim na duchu, a również i na ciele».

Jak wynika z relacji jednej z członkiń KSK, zamieszczonej w kolejnym numerze tygodnika, również w Dubnie tego samego dnia zorganizowano dzień chorych. W Równem, w kościele pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i św. Antoniego, święto chorych odbyło się 1 sierpnia, w wigilię odpustu Najświętszej Maryi Panny Anielskiej. Jedna z organizatorek z KSK relacjonowała w 34 numerze „Życia Katolickiego”: „Dzięki pomocy ks. kanonika Syrewicza i bardzo ofiarnej pracy członkiń Oddziału, święto wypadło dobrze: organizacja, opieka sanitarna i iście samarytańska praca kobiet, które same

przenosiły chorych, zadośćuczyniła celowi święta. Już od godziny 7-ej rano karetki samochodowe Pogotowia Ratunkowego przywoziły chorych do kościoła. Wszyscy chorzy w liczbie 46 osób odbyli spowiedź i przyjęli Komunię świętą. Należy tu podkreślić, że byli to prawie wszyscy obłożnie chorzy, którzy sami nie mogą udać się do kościoła i pozostają w łóżku po kilka i więcej lat, a do kościoła byli wnoszeni na noszach”. Mszę św. odprawił ks. Domański (nie wiadomo, o którego z dwóch księży noszących to imię może chodzić; Edmunda lub Czesława), a kazanie głosił ks. Franciszek Pluta z Janowej Doliny. Jak wynika z tejże relacji, taki dzień, za sprawą starań wspomnianego, a zasłużonego dla parafii i miasta ks. proboszcza Ludwika Syrewicza obchodzono w rówieńskiej parafii już rok wcześniej, czyli w 1935 r. Warto przy tym może przypomnieć, ks. Syrewicz wybudował w Równem okazały dom dla starców pw. Opieki św. Józefa, a wcześniej, duży, nowoczesny sierociniec.

Ks. Zygmunt Chmielnicki, jak się wydaje, uczestniczył w zapowiadającym przez siebie święcie chorych w Kowlu. To on chyba bowiem napisał z niego reportaż pt. „Echa kowelskie”, podpisany inicjałem „Z”, który poniżej przedrukujemy.

Maria Kalas



Budujący się w Równem pod wezwaniem Opieki św. Józefa przytułek dla bezdomnych starców.



Kościół pw. św. Stanisława w Kowlu

Fot. Wikimedia Commons

prałat Tokarzewski, poczem śpiewa wraz z ludem pokutne „*Przed oczy Twoje*”. Wychodzi Msza św. z wystawieniem Najśw. Sakramentu, podczas Mszy św. kazanie. Po Mszy św. nałożenie medalików z wizerunkiem Najśw. Serca Pana Jezusa. Chorych zabierają do domów.

To zewnętrzny przebieg tej pięknej uroczystości, dającej wyraz chrześcijańskiej trosce o cierpiących. Ponieważ łatwo przewidzieć, że podobne dni chorych będą zapewne urządzone przez księży Proboszczów wraz z Akcją Katolicką w różnych ośrodkach diecezji, zwróciłem się po nabożeństwie do wytrawnego duszpasterza, ks. prałata Tokarzewskiego, prosząc go o podzielenie się z czytelnikami „*Życia Katolickiego*” swem doświadczeniem.

– Mojem zdaniem – rzekł ksiądz Prałat – dni chorych można organizować tylko w większych ośrodkach, gdzie jest od-

powiednia pomoc lekarska. Wszak dziś okazała się ona potrzebną w kilkunastu wypadkach, dwa razy nawet w postaci zastrzyków. Jeżeli dzień chorych zostanie zorganizowany bez odpowiedniej pomocy lekarskiej, łatwo o wypadek, który może wywołać wrazenie przygnębiające.

– Oczywiście, jednak tu chodzi o kruchy materiał.

– Właśnie. Następnie, rzecz tę można wykonać należycie tylko w środowisku bardzo ofiarnym i zdolnym do poświęceń się. Proszę ocenić trud tych osób, które przeprowadziły wywiady w całym mieście i okolicy, wyszukując nędzę najbardziej rozpaczliwą. Proszę wziąć pod uwagę, że tyle łóżek i pościeli dla chorych, ile było w kościele, można zebrać również tylko wśród społeczeństwa zdolnego do poświęceń się. Ludzie niezdolni do tego, nie dadzą swojej pościeli choremu na nie wiadomo jaką chorobę. Dla mnie to ogromna pociecha, że w parafii kowelskiej zebranie tych przedmiotów nie natrafiło prawie na żadne poważniejsze trudności, owszem, że wiele osób wprost śpieszyło z życzeniem swych łóżek i pościeli.

– Nie brak tu widocznie ducha chrześcijańskiego.

– Przekonałem się już nie raz, że nie brak, trzeba go tylko rozbudzić. Gdyby gdzie chciano urządzić dzień chorych, zalecałbym usilnie, aby sprawę tę przedtem poruszać z ambony przynajmniej przez kilka miesięcy i aby odbyło się parę odczytów uświadamiających dla Akcji Katolickiej. Bez takiego rozbudzenia i uświadomienia szerokich warstw społeczeństwa zawiodą największe wysiłki.

– A potem zapewne należy stworzyć jakiś komitet?

– Tak, komitet z ludzi pewnych i energicznych. W zarządzie niech będzie jak najmniej osób, byle naprawdę dzielnych. Nasz komitet wyłonił z siebie 5 sekcji:

wywiadowczą do zebrania danych o chorych w mieście i okolicy, transportową do zwiezienia i odwiezienia chorych, porządkową dla dostarczania łóżek, pościeli, itd., żywnościową dla przygotowania śniadania, wreszcie sanitarną celem dostarczania pomocy lekarskiej.

– To naprawdę wiele pracy.

– O, tak. Całkowitą zasługę urządzenia dnia chorych należy zapisać na rachunek Akcji Katolickiej, a ściślej mówiąc, Stowarzyszenia Kobiet Katolickich, które wyłoniło wyjątkowo dzielny i świadomy celów komitet, na czele z p. senatorką Dworakowską. Komitet opracował tak dokładnie i ściśle instrukcje dla poszczególnych sekcji, że wszystko odbyło się nadzwyczaj sprawnie, dokładnie, a co najważniejsze, w głębokiej powadze i skupieniu. I chociaż łóżka stały na presbiterjum i tam po Komunii dawano pożywienie dla chorych, jednak w niczym nie naruszono powagi miejsca świętego. Chcę skorzystać z tego wywiadu i w imieniu nie tylko duchowieństwa, ale i wiernych całej parafii i chorych, wyrazić publicznie uczucia najgłębszej wdzięczności dla wszystkich, bez wyjątku, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do urządzenia dnia chorych w Kowlu. Stwierdzam z całą świadomością tego, co mówię, że jedyną pobudką, która nimi kierowała, była, naprawdę, rzeczywista miłość dla sprawy Chrystusowej i miłość dla braci cierpiących. Dlatego też zapewne Chrystus pobłogosławił ich pracy, bo obchód udał się na 100 proc., mówiąc po ludzku.

– A o co, zdaniem księdza Prałata, powinno chodzić najbardziej w całej uroczystości?

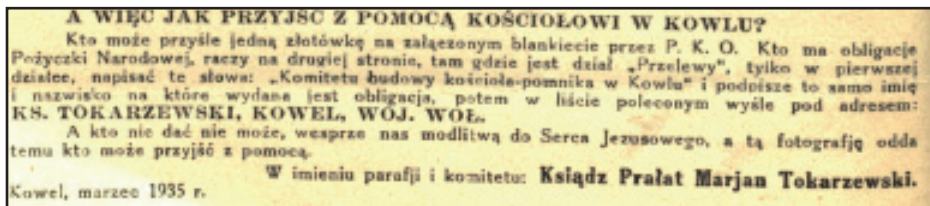
– Celem moim było przede wszystkim danie możności wypowiedzenia się, wysłuchania Mszy św. i przyjęcia Komunii św. tym wszystkim, którzy z powodu choroby byli przez długi czas tego pozba-

wieni już to z powodu, że o to nie zatroszczył się nikt z osób bliskich, już z powodu, że dostanie się z łóżkiem do kościoła w innych okolicznościach byłoby utrudnione. Na tem tle dochodziło czasem do scen wzruszających. Na przykład opowiadano mi, jak pewna chora staruszka, gdy ją odwiedziły panie z sekcji wywiadowczej, załała się łzami na wieść, że ktoś na świecie jeszcze o niej pomyślał. Następnie chodziło mi o to, aby społeczeństwo w Kowlu zainteresowało się koniecznością stworzenia przytułku dla starców i ogólnej opieki nad chorymi

– Myślę, że to, co dzisiaj widzieliśmy w kościele, musiało wzbudzić litość w niejednym sercu i dać pobudkę do wyęzionej działalności w kierunku roztoczenia szerszej opieki nad chorymi.

– Mam nadzieję, że tak się stanie. To były moje cele. Uważałem też za konieczne wyłączyć samą możliwość przypuszczenia, że w uroczystości tej mogło chodzić o jakikolwiek cel materialny. Nie pobieraliśmy żadnych opłat od chorych ani ich rodzin, nie przyjmowaliśmy nawet intencji mszalnych, nie pozwoliłem przejść ze zwykłą kwestą po kościele. W ogóle żadnych kwest ulicznych albo po domach, ani żadnych zapomóg nie było. Aby jednak sami chorzy brali udział w uroczystości tylko z pobudek duchowych, nie kierując się nadzieją zysku materialnego, nie udzielaliśmy im żadnych zapomóg ani porad lekarskich. To powinno się zrobić przy innej sposobności. Zawiedli się przeto ci, którzy uwierzyli pogłosce o przybyciu 12-stu lekarzy z Zakopanego celem badania chorych.

Na tem zakończyliśmy rozmowę z ks. Prałatem o święcie chorych. Ale ponieważ nie byłem w Kowlu przez czas dłuższy, poszliśmy zobaczyć, co przybyło w przeszlicznym kościele – pomniku. Kończy się tynkowanie wewnątrz. Na zewnątrz po-



Fragment apelu-cegiełki na budowę kościoła w Kowlu, wkładka do „Życia Katolickiego” 1935, nr 9.

wstało ogrodzenie. Ale ksiądz Prałat ze szczególną lubością polecił mi przypatrzyć się pięknej rzeźbie nad głównym wejściem do kościoła, wykonanej przez artystę – rzeźbiarza, p. Wojciecha Durek-Durskiego z Warszawy. Widocznie jest to jeden z najmilszych dla ks. Prałata szczegółów w tej budowie, bo obszernie tłumaczył mi myśl zawartą w rzeźbie.

Na tronie pod baldachimem gotyckim zasiada Chrystus, na którego pierś widnieje Serce Przenajświętsze. Z oblicza Bożego bije wielka dobroć i słodycz. Ręce miłosiernie wyciągnięte. Z prawej strony Zbawiciela kłęczy biskup, o rysach przypominających Pasterza naszej diecezji i w imieniu Kościoła składa Zbawicielowi w darze trzymany przez się w ręku model świątyni kowelskiej. Za biskupem kłęczy weteran 63-go roku. Ponieważ kościół kowelski jest zarazem pomnikiem dla poległych za Ojczyznę, postać ta przypomina krew ofiarną, wylaną w latach niewoli. Za weteranem widnieje postać szlachcica polskiego. Ze strony lewej – kłęczy dzisiejszy żołnierz polski w hełmie, lecz bez zbroi, otaczający ramieniem chłopaczka z rycerstwa Chrystusowego. Świątynia budowana jest w latach pokoju, więc żołnierz odłożył karabin na stronę i modli się, aby z tego chłopczyka wyrósł mu godny następca, obrońca Ojczyzny. Za żołnierzem kłęczy kolejarz, przedstawiciel świata robotniczego, a zarazem tych, którzy w tak wielkiej mierze pracą i ofiarnością swoją się przyczynili

do budowy kościoła-pomnika w Kowlu.

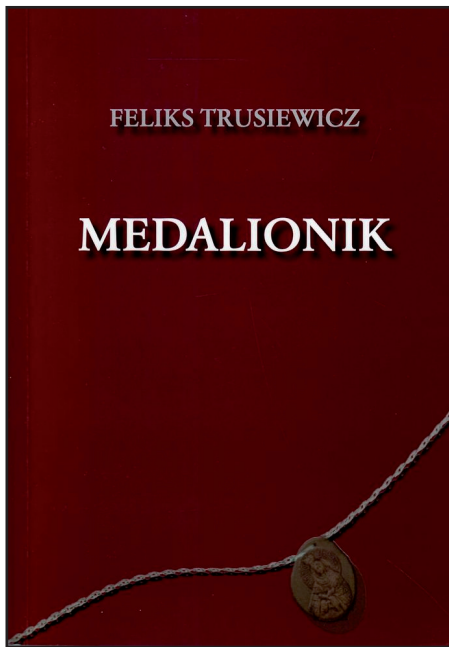
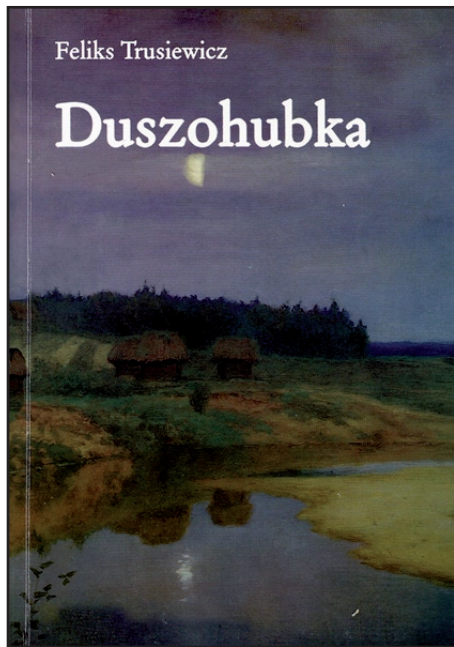
Miło jest spędzić kilka godzin w ośrodku, w którym widać tętno żywej pracy. Zawsze jest co zauważyć i o czym napisać. Kowel należy bez wątpienia do takich ośrodków w naszej diecezji. Wszystkim, którzy nadają mu ten charakter, należy się uznanie i cześć.

Z. [Ks. Zygmunt Chmielnicki]

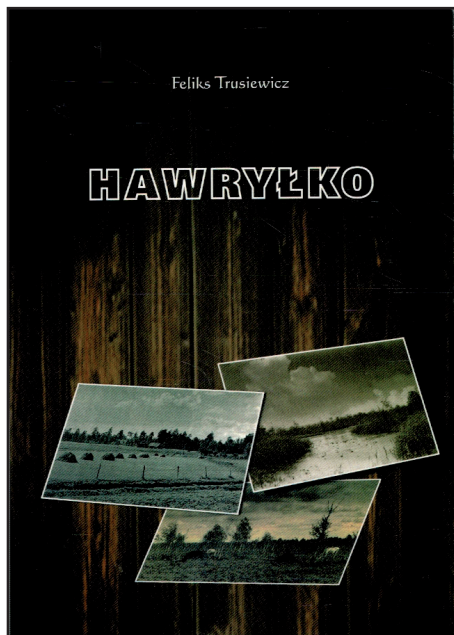
„Życie Katolickie” 1936, nr 26, s. 403-404.



Kościół pw. św. Stanisława w Kowlu
Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



Na składzie jest jeszcze kilkadziesiąt egzemplarzy trylogii: „Duszohubka”, „Hawryłko” i „Medalionik” oraz książki „Nad Słuczą”. Można je zamawiać.



Historia - Історія

Petro ANTONOWYCZ

KRÓTKA HISTORIA WOŁYNIA

DOBA STARORUSKA

(OD VI W. DO 1340 ROKU)

WSTĘP TLUMACZA

Na treść prezentowanej publikacji składa się skrócona historia Wołynia. Praca napisana w roku 1918 doczekała się drugiej edycji w roku 1992, przedruku dokonało Wołyńskie Wydawnictwo Надсир'я. Podjęłam się próby jej przetłumaczenia z dwóch powodów – po pierwsze otrzymałam niniejszą publikację od mojej koleżanki Ukrainki, po drugie, zaciekawiło mnie utożsamianie się Autora opracowania z rodzinnym krajem, traktowanie tegoż kraju jak czegoś wyjątkowego, niezbywalnego, słowem na wskroś patriotyczne, albo z drugiej strony (co zabrmi nieco mocniej) nacjonalistyczne podejście do tematu.

Poruszony jest w tej pracy drażliwy dla nas temat, jak przynależność Galicji i Chełmszczyzny do Ukrainy. Myślę, że warto poznać tę okrojoną historię po to by przynajmniej w ogólnych zarysach zrozumieć zawilości naszej polsko-ukraińskiej przeszłości. Inne budzące kontrowersję wyjaśnienia – to szczegółowy opis jak bardzo «cierpiała» Ukraina z powodu sojuszu Polski z Litwą, czy zdanie: «*Nastał wreszcie czas, kiedy wiekowa gnębielka narodu – Polska – sama stanęła przed sądem historii...*».

Tekst Petra Antonowicza uzupełniłam przypisami, które poszerzają w pewnym stopniu przekazane przez Autora informacje, brakuje bowiem w tym opracowaniu przypisów, wykazu literatury wresz-

cie źródeł archiwalnych, co moim zdaniem ujmuje wartości pracy, nie wyobrażam sobie bowiem napisania zdania w rodzaju: «*Kronika przekazuje nam:...*» i tutaj następuje opis wydarzeń, które doprowadziły do powstania państwa kijowskiego, a nie jest podana żadna, choćby najmniejsza informacja jaki to latopis (kronika) i przez kogo spisany, w którym wieku. To tylko jeden przykład, a jest ich bardzo dużo. Oddając tę pracę do rąk polskiego Czytelnika mam nadzieję, że stanowiąc będzie nie tylko ciekawą lekturę, ale przede pokaże ukraińsko-polskie relacje na przestrzeni dziejów...

Regina Smoter Grzeszkiewicz

SŁOWO WSTĘPNE

«Nigdzie nie jest lepiej, nigdzie nie jest piękniej

Jak na Ukrainie» (myśl ludowa).

Każdy człowiek powinien kochać swój rodzinny kraj. Jeśli chce go polubić szczerze – musi nie tylko znać swoją ojczyznę, taką, jak jest teraz [w czasach, w których przyszło mu żyć], ale powinien znać jej przeszłość.

Nas, Wołyniaków nasz ukraiński kraj winien urzekać swoim pięknem, gdzie mieszkają ludzie, którzy mówią po naszemu, ale z tej ogromnej przemilej krajiny powinniśmy wyodrębnić Ziemię Wołyńską, najbliższą naszemu sercu, rodzin-

ny Wołyń, gdzie urodziliśmy się, dorastaliśmy, gdzie pracujemy, gdzie (jak myślimy) złożymy swoje kości, jak złożyli je tutaj nasi dziadowie i pradziadowie.

Oto dlaczego powinniśmy kochać najbardziej swój rodzinny kraj, swój Wołyń. Musimy znać jego przeszłość, musimy znać jego historię, wiedzieć kiedy i kto żył na naszej Ziemi, kim byli nasi przodkowie, jak oni żyli, kogo kochali z kim walczyli, kto im pomagał, jacy byli wśród nich dobrzy ludzie, kto w danym czasie był z nich najmądrzejszy, kto najlepszy, kto pracował dla dobra swojego kraju, a kto być może go zdradził.

W naszej króciutkiej historii o tym wszystkim coś niecoś wspomnimy. Do naszego słowa wstępnego możemy jeszcze dodać kilka słów odnośnie granic Wołynia, a także o pierwszych mieszkańcach kraju.

Ten kraj, który nazywamy Wołyniem nie zawsze miał takie granice, jakie posiada obecnie. Wschodnia część dzisiejszego Wołynia, czyli powiaty: owrucki, zwiahelski, żytomierski, znajdowały się w granicach Ziemi Kijowskiej. Z drugiej strony, od południa i od zachodu do Wołynia od dawna po części przynależały te ziemie, które teraz nazywamy Galicją i Chełmszczyzną [1]. Od północy do Wołynia należały te tereny, które teraz należą do Grodzieńszczyzny. Nie możemy w naszej książeczce opowiadać tylko o tym, co działo się w granicach współczesnego Wołynia, ale musimy też dotknąć spraw Kijowszczyzny, Galicji, Chełmszczyzny, a także tych wszystkich ziem, które znajdowały się w granicach Wołynia, ziem historycznych w minionym okresie oraz w okresie obecnym.

Kiedy po raz pierwszy zasiedlili nasz kraj ludzie? Zasiedlili go bardzo dawno. Opowiada nam o tym ziemia, czyli te grodziska, te mogiły, które tak często spotyka

się na Wołyniu. Uczeni rozkopali te mogiły, badali te grody, znaleźli tam ślady naszych dawnych przodków, a właściwie znaleźli ich kości, kamienne noże, dłuta, siekiery, strzały, gliniane naczynia oraz różne narzędzia. Dużo takich mogił i grodzisk rozkopali prości ludzie szukający skarbów, ale ma się rozumieć bogactwa tam nie znaleźli, a tylko wyrządzili szkodę dla uczonych, badających jakie ślady z przeszłości kryją te kurhany i mogiły.

Uczeni na podstawie tego, co znaleźli przy rozkopywaniu mogił i grodzisk opowiadają nam, jak żyli nasi przodkowie w najdawniejszych czasach. O naszym Wołyniu mówią, że ten kraj był zamieszkały dawno, dawno temu, że ludzie tu mieszkali jeszcze w tych czasach, kiedy nie znali żelaza ani innych metali, kiedy nie umieli jeszcze siać zboża, nie hodowali zwierząt domowych. Opowiadają nam jak ci ludzie męczyli się zdobywając ogień, wyrabiając noże, siekiery, dłuta oraz strzały z kamienia, jak uczyli się wykonywać naczynia z gliny, a później je wypalać, tak samo jak uczyli się wydobywać miedź i żelazo, a później je wypalać i wykonywać z nich swoje narzędzia. Taki rozwój cywilizacji trwał już od dawna.

Ludzie dość długo męczyli się, zanim doszli w swoim rozwoju do tego, że nauczyli się gospodarować i tym samym polepszyli swój byt. Ale nie mamy zamiaru omawiać bardzo dokładnie tego zagadnienia, spróbujemy zając się okresem nam bliższym, tak zwanymi czasami historycznymi.

Należy wziąć pod uwagę, że odnośnie najdawniejszych, historycznych czasów także mamy mało rzetelnych informacji. Ludzie żyjący w tamtym okresie jeszcze nie umieli pisać, a to, co zachowało się w przekazach najstarszych osób nie zawsze ma naukową wartość, ponieważ w tych przekazach prawda przemieszana

jest z fikcją, bajkami, legendami. W czasach późniejszych wszystkie te fikcje razem z prawdziwymi przekazami zostały zapisane w tak zwanych latopisach [2], z których korzystamy celem poznania swojej historii. Wiadomo, że coś, niecoś z fikcji, jeśli by ją przyjąć za pewnik przeszłoby do historii. By tego uniknąć przekazy zawarte w latopisach porównywane są ze źródłami innych narodów, z odkryciami archeologicznymi, które ukazują prawdziwa historię tamtych czasów.

DOBA STARORUSKA (OD VI W. DO 1340 ROKU)

1. CZASY PREHISTORYCZNE

Na naszej wołyńskiej ziemi na wiele lat przed tym niż założono w Kijowie państwo, jeszcze w VI wieku po Chrystusie żyli nasi przodkowie Słowianie, Dulebowie [3], żyli tam, gdzie obecnie znajduje się powiat włodzimierski; jeszcze teraz istnieje tam wioska Duliby (Дуліби). Według zapisu w latopisie Awarowie wojowali z tymi Słowianami, męczyli Dulebów, którzy [także] byli Słowianami. Dopuszczali się gwałtów dulebskich kobiet. Gdy Awar musiał gdzieś wyjeżdżać nie kazał zaprzęgać do wozu ani konia ani wołu, ale trzy, cztery, albo pięć dulebskich kobiet i wieżę go, tak męczyli Awarowie Dulebów, bo byli oni wielcy wzrostem, a także dumni, ale Bóg wytracił ich, wszyscy wymarli i nie pozostał ani jeden Awar, po dzień dzisiejszy funkcjonuje powiedzenie «*zginęli jak Awarowie*».

Że nasz kraj zamieszkiwali od dawna Słowianie ruskiego pochodzenia piszą historycy bizantyjscy z V wieku, a także łaciński historyk z VI wieku – Jordanes [4]. Píše on, że Słowianie zamieszkiwali wówczas tereny położone na północ od Dunaju do górnej Wisły oraz na wschód od Dniestru, zajmowali tereny Podkarpa-

cia, a może nawet i Karpat. Arabski historyk Masudii [5], pisał w latach czterdziestych X wieku (wcześniej niż powstał nasz latopis «*Powieść doroczna*» [6]), że Słowianie żyli przez pewien czas zjednoczeni pod władzą księcia jednego plemienia [...], czyli naszych przodków – Wołynian [7]. Jedność pomiędzy tymi Słowianami zaczęła się chwiać, ich sojusz rozewrwał się, a oni znów zaczęli żyć osobno i mieli swoich odrębnych władców. Poznaliśmy także nazwy Słowian, którzy na stałe lub tymczasowo zamieszkiwali terytorium Wołynia: Wołynianie, Turyczanie, Łuczanie, Dulebowie, Bużanie, Derewlanie. Plemiona te były blisko spokrewnione z plemionami słowiańskimi: Polanami, Dregowiczami, Siewierzanami oraz innymi, które zamieszkiwały dalej na północy w pobliżu Nowogrodu [8] i innych miast.

Tak, jak wszyscy Słowianie byli oni wysokiego wzrostu z jasnymi włosami i dobrego usposobieni. Odważni, dzielni a także gościnni. O naszych przodkach Derewlanach [9] opowiada kijowski latopis, że «*żyli jak dzicy, po zwierzęcemu*». Trzeba to rozumieć tak, że piszący latopis mieszkawiec miasta kulturalny, wychowany w duchu chrześcijańskim traktował ich z pogardą i zdziwieniem. Ci nasi Derewlanie uprawiali zboże, podobnie jak inni Słowianie, co znaczy że byli dość rożgarnięci.

Nasi przodkowie byli poganami, wierzyli w Peruna [10], Chorsa [11], Dadźboga, Swaroga. Wiara ta nie potrzebowała ani szczególnych świątyń, ani szczególnych ofiar, każdy modlił się za siebie i za swoją rodzinę w pięknym miejscu nad wodą albo w lesie, w których to miejscach urzekało człowieka piękno przyrody, jej dzikość. Bogowie naszych przodków odznaczał się dobrocią: większość z nich była dawcami życia, dobra, zdrowia, światła, ciepła, deszczu i tego wszystkiego, co tak bardzo ludziom potrzebne.



Kniaź Ruryk

Ryc. Wikimedia Commons

Obyczaje naszych przodków na podstawie tego co piszą latopisy były dzikie, na przykład, jak mówi kronikarz nie znali pojęcia ślubu, tylko chwyтали sobie kobiety w lesie, w pobliżu wody albo podczas zabaw jakie odbywały się szczególnie wiosną, gdziekolwiek za wioską. Tak ogólnie przyjęte zwyczaje pokazują nam pewny stopień rozwoju.

Przodkowie nasi lubili zabawy, lubili rozweselić się, pobawić przy każdej okazji. Kiedy te okazje były smutne, jak na przykład podczas czyjejs śmierci, wtedy urządzali stypę. Podczas zwyczajowych zabaw śpiewali ładne pieśni, które częściowo zachowały się do czasów. Najwięcej śpiewali, podobnie jak i teraz na weselach. Nasze terażniejsze zwyczaje możemy zrozumieć dopiero wtedy gdy weźmiemy pod uwagę daleką przeszłość, zapamiętane z odległych czasów melodie, przyspiewki, przezdzwiska i inne.

Nasi przodkowie dzielili się na rody, czyli wielkie rodziny, jakie często były

do siebie wrogo nastawione, ale w chwilach zagrożenia potrafili dojść do porozumienia i zebrać się razem celem obrony. Bywało też, że często podporządkowywali się silniejszym sąsiadom i placili im daninę.

2. PAŃSTWO KIJOWSKIE

Kronika opisuje takie zdarzenie: w roku 862 Słowianie nowogrodzcy weszli w układy z Waregami [12] i założyli wspólnie państwo ruskie, następnie dwaj wodzowie z grupy Waregów – Askold i Dir popłynęli ze swoimi ludźmi wzdłuż Dniepru i założyli Kijów – tutaj nie było księcia, więc zaczęli nim zarządzać. Byli odważni, organizowali wyprawy do Carogrodu (Konstantynopola) [13], i byli, jak głoszają przekazy chrześcijanami.

Kiedy zmarł Ruryk [14] w Nowogrodzie zamiast małoletniego Igora sprawował władzę jego krewny Oleg, który zaczął przejmować pod swój zarząd duże miasta, następnie zawładnął Kijowem zabijając Askolda i Dira. Oleg był dzielnym księciem. Uczynił Kijów stolicą swojego państwa, nazywając go «*matką ruskich miast*». Tak opowiada kronikarz, ale możemy mu nie wierzyć, bowiem nauka dotychczas nie dała wiarygodnej odpowiedzi na pytanie odnośnie wyprawy Waregów i złożenia przez nich państwa.

Niektórzy uczeni uważają, że nazwa «*Rus*» nie jest pochodzenia waregskiego, lecz jest nazwą rodzimą, miejscową, kijowską. W Szwecji, skąd przybyli Waregowie nikomu nie nadawano takiego imienia. Pojawiło się ono jako imię ojczyste nie w Nowogrodzie, gdzie powinno było się pojawić gdyby było imieniem waregskim, a w Kijowie, gdy zaistniała taka konieczność. Zresztą są to pytania retoryczne i nie ma sensu dłużej się nimi zajmować.

Oleg zjednoczył plemiona słowiańskie zostając ich przywódca, w tym także naszych przodków: Drewlan, Bużan,

Dulebów. Kronikarz opisujący wyprawę Olega do Carogrodu (Konstantynopola) w 907 roku mówi: Wyruszył Oleg na Greków, Igora zostawiając w Kijowie wziął ze sobą wielu Waregów, Słowian, Czudziów [15], Krywiczów, Meri [16], Polan, Siewierzan [17], Derewlan [18], Radymiczan [19], Chorwatów [20], Dulębów [21] i Tywerców [22]. Z powyższej relacji dowiadujemy się, że nasi wołyńscy przodkowie byli «rozsądnymi», czyli współnikami kijowskiego księcia, pozostając w ściślejszej od niego zależności. Odnośnie Olega, lud uważał, że jest on niezwykłym człowiekiem, z charakterem, co zadecydowało o tym, iż obdarowano go przydomkiem «Wielki». Kronikarze podają ciekawą opowieść o tym jak zmarł, z której wynika iż bezpośrednią przyczyną jego śmierci był... koń. Zainspirowany kronikarskim przekazem ukraiński poeta, S. Rudański (С. Руданський) tak opisał wierszem (niczym dawny pieśniarz) księcia:

*«Tyś szczęśliwy, książę, panie,
Nie znasz niedoli,
Ale jak umierać będziesz,
Mnie sobie przypomnisz.
Twoja sława chodzi teraz
Pomiędzy krajami
Do Carogrodu przybywasz
Z tarczą do bramy,
Ciebie nic wstrzymać nie może,
Ani jary, ani góry,
Cichnie przed tobą
Nawet sine morze...
Twojej zbroi złotej
Miecze nie tykają,
I ostre wrogie strzały
Obok przelatują...»*

któremu zagrażała śmierć nie od okrutnego wroga, a od konia. Pośmiawszy się książę z dziada (śpiewaka) oddał konia pod opiekę sługi, a sobie wziął drugiego. Po kilku latach przypomniał sobie konia, gdy dowiedział się, że już zdechł zapragnął spojrzeć



Książ Ruryk

Fot. Archiwum

na jego kości. Kiedy je oglądał z czaszki wypelzła żmija, ugryzła Olega w nogę, na skutek czego zmarł. Tak spełniła się przepowiednia starego znachora.

Wszystkie opowieści o naszych najdawniejszych księżętach należą do kronikarskich legend, jakie opowiadano wcześniej. Nie należą do tych opowieści tylko opisy walk Olega z Grekami, z którymi zawarł w 911 roku traktat pokojowy. Treść tegoż traktatu zachowała się w kronice. Dowiadujemy się z niej jak wielkim poważaniem cieszył się wśród miejscowych książąt książę kijowski, skoro zgodził się wyruszyć pod jego przywództwem na dalekie ziemie Greków.

3. IGOR I OLGA

Poczynając od czasów Igora, księcia kijowskiego zaczęła się większość re-



Św. Olga Kijowska

Fot. Wikimedia Commons

lacji o naszym kraju zapisana w kronikach. Znajdujemy tam także zapis o tym jak Igor polecił swojemu wojewodzie zebrać haracz od Drewlan. Podczas dokonywania tej czynności wynikły nieporozumienia odnośnie wysokości zebranej kwoty – wojsko namówiło Igora by sam zajął się tą sprawą. Kiedy Igor zobaczył iż Drewlanie oddają haracz bez przymusu, rozpuścił swoje wojska, uważając iż problem został rozwiązany.

Drewlanie tymczasem zebrali się razem ze swoim księciem Małym posłali [gońca] do Igora by dał sobie spokój ze ciągnięciem haraczu (daniny). Igor nie usłuchał. Wtedy Drewlanie (mieszkańcy Iskorostenia, obecnie Korosten), grodu n. Rzeką Uż [23] pojмали Igora, przygięli dwa drzewa przywiązując do wierzchołków nogi księcia, a następnie puścili drzewa i w ten sposób rozdarli go.

Zrobili to korosieńscy Drewlanie z miasta Korostenia, które znajduje się w obecnym powiecie owruckim.

Żona Igora, Olga dość surowo zemściła się na korostieńskich Drewlanach za śmierć swojego męża. Kronikarz, chociaż był chrześcijaninem, pochwalił Olgę za ten czyn, dokonała bowiem pomsty według dawnego zwyczaju z niezwykłą przebiegłością, za co zyskała uznanie w oczach kronikarza. Nasi przodkowie Drewlanie, jak czytamy w zachowanym opowiadaniu (przekazie) zostali kilkakrotnie przez chytrą kniahinię (księżną) ukarani: zakopywała ich żywcem w ziemi, parzyła w łaźni (saunie) aż do śmierci, ściągala z nich podwójną daninę, aż wreszcie podstępem spaliła stolicę – Korosten [24].

Olga nie tylko się mściła, zaprowadziła także na naszych ziemiach porządek – objeżdżała podległe jej władzy tereny, nakazując budować «*spohosty*» [25], miasta, jak podano w oryginalnym tekście. Pamiątką tamtych czasów jest zachowany w odległości 5 wiorst [26] od Korostenia grób Igora oraz «*łaźnia*» Olgi w Korosteniu na rzece Usa, gdzie kapłała się niegdyś w pięknej kamiennej «*wannie*», jaką wyźłobił w kamieniu wartki nurt. Olga jeździła z wizytą do Carogrodu (Konstantynopola) do władcy Greków i prawdopodobnie tam przyjęła chrześcijaństwo. Z całą pewnością możemy powiedzieć, że była chrześcijanka, trzymała bowiem swoim otoczeniu kapłana i nakażala pochować siebie bez urzędzania tryzny [27], po chrześcijańsku. Kościół nazywa ją «*zorzą poranną*», która pojawia się przed słońcem. Kościół Prawosławny włączył księżnę Olgę w poczet świętych, błogosławionych.

4. ZWIĄZKI WOŁYNIA Z KIJOWEM

Związki naszego kraju z Ziemią Kijowską datują się od momentu gdy księżęta kijowscy oddali go pod zarząd swoim synom. I tak syn Igora – Światosław, który był sławnym wojownikiem wyprawiał

się nawet przeciwko Bułgarom [28], osadził w Owruczu swego syna Olega. Włodzimierz osiedlił Wsiewołoda, Światosława i t.p. Ale nasi książęta nie rządzą swoimi udziałami spokojnie, ponieważ każdy pragnął dla siebie lepszej, zasobniejszej w dobra materialne ziemi. Czasem walczyli także z innego powodu. Poprzez takie działania nasz kraj przeżył nie mało trudnych i burzliwych godzin.

Po śmierci Światosława [29], Jaropek (syn Światosława, w roku 973 został księciem kijowskim) wyprawił się zbrojnie przeciwko Olegowi, swemu bratu, przywódcy Derewlan. Bitwa rozegrała się pod Owruczem. Wojsko Olega zostało pokonane, książę utracił głowę; jego mogiłę pokazują do dziś pod Owruczem.

Wiele korzyści przyniosła naszemu krajowi wiara chrześcijańska, dzięki której powstała silna więź łącząca poszczególne plemiona. Włodzimierz Wielki sam przyjąwszy chrześcijaństwo ochrzcił wszystkich kijowian, jak mówi kronikarz, wysłał na przydzielone im terytoria swoich synów, a wraz z nimi kapłanów przykazując aby każdy z nich na swojej ziemi uczył i chrzcił ludzi oraz stawiał cerkwie. Prawdę powiedziawszy wiara chrześcijańska była widoczna na Ziemi Wołyńskiej dużo wcześniej przed Włodzimierzem Wielkim, bo eparchia (diecezja) św. Metodego sięgała aż do Bugu i Styru, ale chrześcijaństwo w tamtym okresie nie było wiarą całego narodu, a tylko pojedynczych osób. Teraz stało się wiarą państwową. Włodzimierz sam pobudował cerkwie w większych miastach, sam wyznaczał biskupów. I tak na Wołyniu w mieście Włodzimierzu wznosił wielką murowaną cerkwie p.w. Zaśnięcia Matki Bożej, która istnieje do dziś, nazywana przez ludność «*starą katedrą*». Wcześniej, także we Włodzimierzu, jak głoszą stare przekazy, zbudował w przeciągu jednego dnia cerkwie p.w. św. Wasyla, budy-



Św. Włodzimierz Wielki Fot. Archiwum

nek oczywiście był drewniany, nieco później na tym miejscu postawiono cerkwie kamienną, która istnieje do dziś do dziś z przebudowanymi kopułami. W wiosce o nazwie Zimne (Зимне, Зимное) do tej pory znajduje się kamienna cerkwie zbudowana przez Włodzimierza Wielkiego, a w niej obraz matki Bożej, którym – jeżeli wierzyć przekazom błogosławił patriarcha ślub Włodzimierza z grecką carówną (królowną) Anną [30].

Poza tym Włodzimierz, według najdawniejszych przekazów pobudował także cerkwie w Owruczu p.w. św. Wasyla, w Łucku – św. Dymitra, wznosił dużo cerkwie w innych miastach. Na biskupa miasta Włodzimierza wyznaczył Stefana, z pochodzenia Bułgara, wyznaczył również, jeśli wierzyć przekazom biskupa miasta Łucka.

Wiara chrześcijańska w tamtym okresie była wielką kulturową siłą, ponieważ wraz z budową cerkwie zakładano szkoły. Kronikarz mówi, iż Włodzimierz rozsyłał po wszystkich miastach swego kraju posłańców by zbierać dzieci bardziej zamożnych ludzi w państwie po to by je uczyć w szkołach pisania. Na to wznosił się wokół płacz, ludzie nie rozumieli bowiem że nauka służy ku dobremu.

5. KSIĄŻĘCE ZATARGI

Mówiliśmy już o tym, że książę Włodzimierz rozdał swoją ziemię jeszcze za życia syna. W latopisie (kronice) pod datą 988 zapisano: «*Posadziwszy (Włodzi-*

mierz) swego pierwszego syna Wyszesława [Wiszesława?] w Nowogrodzie Wielkim, Izjasława w Połocku, Światosława w ziemi derewlańskiej [31], Wsiewołoda [32] we Włodzimierzu...» Późniejsze zapisy informują że księciem łuckim był Pozwizd.

W 1015 roku Świętopełk «Przekłęty» [33] zabił księcia derewlańskiego Światosława a Wsiewołod został księciem na całym Wołyniu, granice którego w tamtym czasie były bardziej rozległe niż obecnie, ponieważ przynależały wówczas do Ziemi Wołyńskiej miasta halickie: Przemysł, Bełż, Trembowola. Wszystkie ziemie państwa kijowskiego zostały scalone za rządów Jarosława Mądrego, pod jego panowaniem znajdował się także Wołyń; na Podlasiu zawojował miasta: Drohiczyn, Mielnik, Briańsk.

Po śmierci Jarosława na skutek podziału ziemi pomiędzy jego synów często wynikały spory, które kończyły się walką i zmianą zarządcy na danym terenie... Poprzez te działania często zmieniali się na Wołyniu panujący książęta. Jarosław osadził we Włodzimierzu swojego syna Igora, ale ten po trzech latach przeprowadził się do Smoleńska [34], księciem włodzimierskim został wówczas «Izgaj» [35] Rościśław Włodzimirowicz (wnuk Jarosława), który szybko przedostał się do Tmutorkania [36].

Izjasława Jarosławowicza (syna Jarosława Mądrego), księcia kijowskiego wypędzono z Kijowa podczas walk o władzę, to też nie dziwi fakt, że nie zważający na prawo, jego brat Światosław posłał do Włodzimierza swojego syna Olega. Oleg udał się do Czernihowa [37] na miejsce ojca, a Wsiewołod Jarosławowicz – trzeci syn Jarosława zostawszy wielkim księciem kijowskim zgodnie rozdzielił Wołyń pomiędzy swoje dzieci i wnuki.

Jaropełk Izjasławowicz otrzymał Włodzimierz i Turów [38], Dawid Igorewicz – Dorohobuż, natomiast Ruryk, Wołodar i Wasylko otrzymali Zwienigorod [39], Przemysł i Trembowołę. W wyniku takiego podziału Rościśławowiczów (każdy z nich chciał posiadać Włodzimierz), który doprowadziły do różnych niesnasek, zginął Jaropełk (s. Światosława Igorowicza), jak podały ówczesne przekazy, na wozie, którym jechał do Zwienigorodu położonego w Ziemi Halickiej.

Dawid Igorewicz zajawszy Włodzimierz przywłaszczył sobie także Trembowołę. Napadł na Wasylka, wykuł mu oczy, mając na uwadze zajęcie jego przydziału, ale pozostali książęta zemścili się za Wasylka, wypędzili Dawida z Włodzimierza dając mu Ostróg, Dubno, Czartorysk, Busk, ale szybko odebrali darowane miasta dając w zamian jedynie Dorohobuż.

Dawid Igorewicz był bardzo niespokojnym księciem. Całe swoje życie pozostawał we wrogich stosunkach z sąsiednimi władcami, dążył do tego by odebrać im cokolwiek z posiadanych włości na swoją korzyść. Z Łucka wypędził tamtejszego księcia Dawida Światosłowicza, który został mnichem i jest widoczny w gronie świętych pod imieniem Mikołaja Pobożnego. Kiedy Dawida Igorewicza wypędzono do Drohobuża rządy w Łucku przejął Jarosław Świętopełkowicz.

Zatargi te i ciągle zachodzące zmiany nie były korzystne dla naszego kraju, ponieważ z książętami przechodziło z miejsca na miejsce wiele ich wojska a także bojarzy (szlachta ruska) stanowiąca oświeconą część społeczeństwa, zaś na miejscu pozostawał ciemny naród, który na skutek tych działań i zmian dokonywanych przez książąt zyskiwał tylko niepokój, spustoszenie, nędzę... Do tego wszystkiego trzeba dodać, że tę część kra-

ju często najechał stepowy lud Połowców [40], który dopuszczał się grabieży biorąc miejscową ludność w niewolę. O tych smutnych czasach pieśniarz ze «*Słowa o wyprawie Igora*» [41] mówi: podczas książęcych zatargów ludzkie życie uległo skróceniu! Wtedy w ruskiej ziemi rzadko rataje [42] pokrzykiwali, natomiast często nad trupami wrony krakały. Kawki zwoływały się między sobą na żer chcąc lecieć...

6. MONOMACHOWICZE [43] I KSIĄŻĘTA HALICCY

W 1113 roku wielkim księciem w Kijowie został Włodzimierz Monomach, jego ród zajął Wołyń. W tym czasie wołyńskimi książętami byli niemal zawsze tylko Monomachowie, a właściwie potomkowie jego wnuka Izjasława Mścisłowicza [44]. Bywały okresy gdy Wołyń stawał się chociaż na krótko niezależnym od Kijowa, nie obywatło się wówczas bez walk, a Wołyń przechodził w ręce Monomachowiczów, ale bywało również i tak, że Monomachowicze zasiedzieli na Wołyniu zarządzali Kijowem, kiedy ten zaczął poupadać. W tym okresie książęta wołyńscy musieli bronić swojej Ziemi nie tylko przed stepowym ludem Połowców ale również przed sąsiadami, Polakami a także Litwinami.

Pamiętka po Monomachowiczach we Włodzimierzu jest wielka murowana cerkiew Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy, którą zbudował Mścisław II Izjasłowicz w 1160 roku. Cerkiew ta przez długi czas pozostawała w ruinie, jednak (przed rokiem 1918) została odrestaurowana. Syn tegoż Mścisława – Roman był wielkim samodzielnym wołyńsko-halickim, ponieważ zjednał pod swoim zarządem Wołyń i Księstwo Halickie. Do jego osoby powrócimy później, a teraz powiemy kilka słów o książętach halickich.

Opowiadaliśmy już o tym, jak Wsiewołod Jarosławowicz obdzielił swoich siostrzeńców i wnuków posiadłościami. I tak: Ruryk – osiadł w Przemysłu, Wołodar – w Zwiniogrodzie (Dźwinogród), a Wasylko w Trembowoli. Byli to książęta dość energiczni, dzielni, i to oni odbierali swoje terytoria od książąt – sąsiadów, podobnie od Polaków i od Węgrów. Z pośród nich najbardziej chytrym był Władimirko, który nie zważał nawet na przysięgę [nie wiadomo o jaką przysięgę chodzi]. To on uczynił Ziemię Halicką wyjątkową w czasach swojego panowania i przekazał ją swemu synowi Jarosławowi Ośmiomysłowi [45] w apogeum swoich rządów. Wspomniany wcześniej pieśniarz ze «*Słowa o wyprawie Igora*» w taki sposób zwraca się do Jarosława:

«*Halicki Ośmiomyśle [Rozumny]
Jarosławie!*

*Wysoko ty siedzisz na swoim w zlocie
wykutym tronie.*

*Podtrzymujesz góry węgierskie
swoimi żelaznymi pulkami,*

Zastąpiwszy drogę królewską,

Zamknąwszy wrota Dunaju,

Rzucający kamienie poza obłoki,

Wiodący sąd nad Dunajem,

Ty otwierasz bramy Kijowa,

Ty strzelasz z ojcowskiego, złotego

tronu

Do sultanów w ich ziemiach...»

Jarosława szanowali wszyscy współcześni mu książęta, tym bardziej, że księstwo halickie przechodząc z ojca na syna wzmocniło kraj, ale wzrosła także w siłę bojarstwo (miejscowa szlachta), które zaczęło wtrącać się w sprawy książęce; była to rzecz dotychczas nie spotykana i książęta nie chcieli się z tym zmierzyć. Na skutek tego syn Jarosława – Włodzimierz przez całe życie nie mógł sobie poradzić z bojarami, często z przymusu opuszczał Ruś Kijowską, aby później znów na nią

powrócić. Nie pozostawił po sobie dzieci prawnie zrodzonych, a przez to po nim Ruś Halicką zagarnął Roman Mściśławowicz, książę wołyński.

7. ROMAN MŚCIŚLAWOWICZ

Praprawnuk Włodzimierza Monachomacha, książę wołyńsko-halicki Roman po długim buncie w naszym kraju, zebrał pod swoją mocną ręką rdzenne ukraińskie ziemie, potrafił obronić je przed wrogami, a wrogów było wówczas wielu: Polowcy, Polacy, Węgrzy i Litwini. Szczególnie ciężką była praca nad ujarzmieniem i oświeceniem litewskiego plemienia Jaćwingów, tereny których sąsiadowały z ziemiami Romana od północy, od strony Podlasia. To był dziki naród i Roman wzięwszy spośród nich jeńców, w pierwszej kolejności przymusił ich do uprawy roli. Jaćwingom uprawa roli wydawała się zbędna, tak, że często narzekali na Romana. Z tego też powodu jeden z Jaćwingów ułożył porzekadło, które zanotował kronikarza: «*Romanie, Romanie biednie żyjesz, Litwą orzesz*». Roman prowadził zwycięskie walki z Polakami oczyściwszy od nich Ziemię Lubelską przez co rozciągnął swoją władzę aż za Wisłę na Sandomierszczyznę.

Roman był człowiekiem mądrym, nie starał się zabrać dla siebie Kijowa, dopóki nie pokonał innych książąt, a zwróciwszy uwagę na Ruś Halicką, przyłączył ją do swego wołyńskiego księstwa. Podbity Kijów nie był dla Romana przyjazny, zatem zdobywszy miasto oddał je bratu Jarosławowi, który stał się zależny od Romana. Za to, że Roman poskromił bojarów [46], którzy gnębili prosty lud pozyskał wielką sławę i uznanie narodu. Cała Ukraina, jak zapisano w kronice nazywała go «*wielkim księciem*», samowładcą całej Rusi.

Ludowa opowieść o Romanie, którą zapisano w kronice mówi, że papież rzymski Innocenty III usłyszawszy o Ro-

manie przysłał swoich posłów, mając zamiar wziąć go pod swoją opiekę. Ale gdy posłowie napomknęli o tym, że papież może obdarować Romana ziemią, Roman wydobyl miecz i dumnie odpowiedział, że jego przodkowie i on sam zdobywali sobie ziemię tylko takim mieczem, a nie w inny sposób. Posłowie zawstydzili się i więcej nie zaczepiali dumnego Romana.

Roman utrzymywał także kontakty z cesarzem Aleksym Komnenem [47]. Kiedy Aleksego wypędził z ojcowizny jego siostrzeniec, Roman udzielił mu schronienia u siebie w księstwie Halickim. Być może w związku z tym faktem Roman zamieścił na baszcie pod Chełmem dwugłowego orła – herb Bizancjum [48]. Ale Romanowi nie było dane zrealizować swojego dzieła tak, jakby tego pragnął. W okresie swej największej chwały zginął podczas walk z Polakami [49] pod Zawichostem w 1205 roku. Po nim włodarzem wołyńsko-halickiej ziemi został jego syn Daniel.

8. DANIEL ROMANOWICZ

Daniel liczył zaledwie 4 lata gdy zmarł Roman. Nic dziwnego zatem, że zaczęły się po jego śmierci nieporządki. Młody Daniel i jego młodszy brat Wasylko niejednokrotnie zmuszeni byli ukrywać się, lub szukać pomocy u króla Węgier – Andrzeja, lub polskiego księcia Leszka. Do roku 1214 trwały wewnętrzne zamieszki, dopóki Daniel nie umocnił się na ziemi halickiej. W roku 1228 został księciem halickim, jego brat Wasylko zaczął panować na Wołyniu, tak, że obydwoj zaczęli zarządzać tymi księstwami, do których wkrótce przyłączyli Kijów. Wasylko zamieszkał we Włodzimierzu, a Daniel założył swoją stolicę w Chełmie. Zbudował tam zamek, pozwolił osiedlać się w mieście rzemieślnikom, kupcom, tak, jak zapisał kronikarz: «*mogło zaistnieć życie*». W Chełmie zamieszkałi różni lu-

dzie: Niemcy, Polacy, Tatarzy oraz każdy, kto uprawiał jakieś korzystne rzemiosło lub zajmował się handlem. Daniel pobudował w Chełmie bardzo ładną cerkiew, przyozdobił ją niezbędnymi ikonami, które przywiózł z Owruca, przeniósł także do Chełma biskupa z Uhroweska albo Uhruska, gdzie istniał od dawna. Mówiąc krótko – tak urządził swoją stolicę, jak nie były w tym czasie urządzone inne miasta.

Wołyń i Ziemia Halicka przeżywały za panowania Daniela nie tylko czas wielkiej sławy, przeżywały także wielkie nieszczęścia: to był pogrom Tatarów. Z dalekiego wschodu najechali na naszą ziemię Mongoł-Tatarzy, rujnując wszystko. Przeszli przez Ziemię Moskiewsko-Suzdalskie, przez Ziemię Riazańską docierając aż do górnej Wołgi, a potem zawrócili na stopy czarnomorskie [uderzając] na Połowców. Jesienią 1239 roku wrócili na Ukrainę, zdobyli Perejasław [50], Czernihów (gród na prawym brzegu Desny), a w roku następnym – Kijów. Kijowianie nie byli w stanie się obronić, miasto zostało zajęte, rozgrabione, spustoszone. Po zdobyciu Kijowa Batu – chan powrócił na Wołyń, wszystkie większe miasta zostały zrujnowane przez Tatarów, ale nie tak, jak spustoszone zostały Ziemię Moskiewsko-Suzdalskie. Wiele mężczyzn i kobiet poszło w bisurmańską niewolę z rękami związanymi za plecami. Jednych przeznaczono na sprzedaż, innych, którzy byli urodziwi (w tym głównie kobiety) oddano na uciechę do haremu. W wielu pieśniach opłakiwana jest los naszych braciów niewolników. Oto fragmenty jednej, ułożonej wtedy, albo nieco starszej:

*«Za górą ogień płoną,
tam Tatarzy dzielą niewolników,
wioskę naszą podpalili,
i majątek zarabowali,
a ukochaną zabrali w niewolę.
A w dolinie bębny grzmia,*

*bo na śmierć ludzi wiodą,
kolo szyi arkany się wiją...
a ja biedny z dziećmi,
pójdę lasem, ścieżynkami...»*

W 1242 roku Batu – chan powrócił na Wschód (do siebie). W kraju nastąpił spokój, ale nie na długo. W 1245 roku Tatarzy przysłali do Daniela posła z nakazem: «*Oddaj Ruś Halicką, albo zostań lennikiem chana*». Daniel zrozumiał, że dopóki nie uzna zwierzchnictwa chana, to chan odda jego ziemie komuś innemu. Udał się więc do Ordy (obozowiska Tatarów). Nie była to ani krótka droga, ani bezpieczna, ale Daniel był człowiekiem silnej woli, zdecydowanym, przywykłym do trudów. Trudna to była droga, jeszcze trudniejszy był pokłon, który miał oddać chanowi, uznając go swoim władcą. Chan nie wymagał tego od Daniela, znał siłę słowiańskiego księcia, i dlatego łaskawie przyjął sławnego ukraińskiego rycerza, «*ruskiego króla*» [którego] gościł u siebie przez 25 dni, po czym pozwolił mu odjechać wolno. Kronikarz z wielkim żalem, opisując całą zniewagę, jakiej doznał książę, ojciec którego był władcą, zapisał: «*O nędzna czci tatarska! Książę na kolanach, nazywają go chłopem, żądają od niego podatków, on obawia się o swoje życie, a do niego groźby nadsyłają...*».

Daniel uczynił siebie tatarskim lennikiem, ale po powrocie do domu, po cichu, w tajemnicy zaczął wznosić obwarowania, szykować się do wojny, a w międzyczasie prowadził rozmowy z rzymskim papieżem, aby ten mu pomógł zorganizować wyprawę przeciwko Tatarom. Papież był rad złowić Daniela i całą Ukrainę w swoje sieci. Obiecał Danielowi pomoc, przysłał mu nawet królewską koronę, ale wojśka nie przysłał, wówczas Daniel zerwał z nim wszelkie układy.



9. WOJNA DANIELA Z TATARAMI

Nie doczekawszy się znikąd pomocy, Daniel sam rozpoczął wojnę z Tatarami. Kiedy zmarł Batu – chan, Daniel ruszył z wojskiem na Podole zajęte przez Tatarów, zdobył miasto Bakotę, mieszkańcy którego wypędzili tatarskiego watażkę Kuremsa pod Krzemieniec. Nie ograniczając się do tego, poszedł dalej w górę Bugu kierując się w stronę Słucka, Horynia i Teterewa, gdzie panoszyli się Tatarzy oraz ci wszyscy, którzy korzystając z przewagi Tatarów poszli razem z nimi pragnąc uwolnić się od poddańczej zależności. Widocznie wołyńscy kniaziowie bardzo wiele wymagali od swoich poddanych, skoro ci decydowali się na taką zdradę). Te wszystkie grupy ludności skupione w pobliżu tatarskich obozowisk tworzyły tzw. Ziemię Wołoską, która wzięła swoją nazwę od miasta Bołochowa w górnym biegu Bugu (obecnie nie istniejącego).

Bołochowcy mieli swoich obieralnych książąt i zapragnęli teraz uznać zwierzchność Tatarów. Daniel świadomy tego, czym zagraża mu takie sąsiedztwo z Tatarami oraz nowo utworzone księstwo wyruszył przeciwko Bołochowcom. Zniszczył doszczętnie te miasta i wioski, które opowiedziały się za Bołochowcami. Tak surowa kara była przestrożą dla innych bołochowskich wspólnot i ten zapoczątkowany ruch [czy inaczej mówiąc próba odebrania się od Rusi Halickiej] został powstrzymany. Nie pomógł Bołochowcom także Kurems, któremu chan zlecił obronę zachodnich ułusów [51] oraz udzielenie pomocy lennikom tatarskim – Bołochowcom. Wiadomym stało się, że Tatarzy obawiają się konfliktu z silnym halickim księciem. Dopiero następca Kuremsa, Burundaj potrafił dokonać udanego napadu na księcia Daniela.

Burundaj był chytrym człowiekiem. Zmylił Daniela udając, że ma zamiar udać

się ze swoim wojskiem nie w kierunku Wołynia, ale w kierunku Polski zorientowawszy się, że wszyscy Romanowicze pewni swego bezpieczeństwa zgromadzili się pod Włodzimierzem na weselu Wasylkowej córki, a wtedy niespodziewanie podjechawszy pod granice zażądali spotkania z Danielem jako najstarszym z nich.

Daniel wysłał do Szumska na spotkanie z Burundajem swego brata Wasylka, syna Lwa, chełmskiego władcy Jana, mnóstwo podarków i żywności, a sam skierował się ku Polsce i na Węgry, prosić [tamtęjszych] królów o pomoc w walce z Tatarami. Burundaj rozgniewał się srodcze, że to nie sam Daniel wyszedł mu na spotkanie, krzyczał donośnie na Wasylka i na Lwa, «*a władyka stał w wielkim strachu z podarunkami*», zanotował kronikarz. Dotarłszy ze swoim wojskiem do Włodzimierza, Burundaj zażądał by Wasylko zburzył wzniesioną we Włodzimierzu twierdzę Wasylkowi szkoda było rozbierać mury, zastanawiając się jak zadowolić Burundaja spalił miasto, ale mury pozostały. Tymczasem Burundaj zatrzymawszy się na krótki odpoczynek w pobliżu wioski Piatydnia znowu wysłał posłańca do Wasylka z żądaniem by zrujnował mury. Nie było innego wyjścia, Wasylko usłuchał rozkazu.

Burundaj wyruszył w stronę Chełma – Danielowej stolicy. Chełmianie nie wystraszyli się Burundaja, byli świadomi tego mocnymi murami otoczone jest ich miasto, a ponadto Wasylko przesłał im wiadomość, by nie poddawali się zbyt pośpiesznie. Zrozumiał wtedy Burundaj, że to nie są żarty i odstąpił od oblegania Chełma pustosząc tylko okolice.

Zburzone były mury innych miast wołyńskich i halickich. Swoimi rękoma musiał burzyć Daniel to, co pragnął pozyskać w ciągu swojego życia. Widząc że Tatarzy powrócili na swoje stępy, Daniel także po-

wrócił do domu. Przekonał się, że sam nie jest w stanie ich pokonać.

Daniel zmarł w 1264 roku w Chełmie. Tam został pochowany w cerkwi pw. Najświętszej Marii Panny, którą sam zbudował. Jego śmierć gorzko opłakiwali wszyscy chełmianie. Za mądre sprawowanie rządów przez Daniela, kronikarz nazywa go «drugim po Salomonie».

10. ZASTĘPCA

DANIELA ROMANOWICZA

Po śmierci Daniela Chełmem zarządził jego syn Szwarno, zięć litewskiego księcia Mendoga, a przez to stał się spadkobiercą tronu litewskiego. Ale Szwarno niedługo sprawował rządy; był uległym swojemu wujkowi, Wasylkowi, księciu włodzimierskiemu, któremu ulegli byli także pozostali bratankowie.

Niedługo przeżył Wasylko Daniela, zmarł w 1271 roku. Swoje ziemie przekazał synowi Włodzimierzowi. Ten był już dobrym księciem, wielkim filozofem, miłośnikiem książek, przyjacielem ludzi uczonych i artystów. Księżę ten słaby na zdrowiu nie miał szans na zdobycie wojackiej sławy, zamiast tego zyskał uznanie jako filozof i dobry człowiek, a także kronikarz. Swoją majątność przekazał na użytek publiczny celem odbudowania kraju po tatarskim pogromie. W Lubomlu pobudował piękną cerkiew św. Jura, uposażywszy ją w wykonane własnoręcznie ikony, przekazał także dzwony, tak dobrze wykonane, jakich poza Lubomlem nie było. Chętnie i często przebywał w Lubomlu i tam też zmarł w 1289 roku na skutek ciężkiej choroby (rak szczęki).

Kiedy zmarł Włodzimierz, a także gdy zmarł łucki książę Mściśław Daniłowicz, cały Wołyń oraz Ruś Halicka zjednoczyły się pod przywództwem Jurija, wnuka Daniela, który w 1301 roku zaczął nazywać

siebie «*carem Rusi i księciem Lodomerii*». W sposób mądry, co przyniosło mu sławę, przez lat szesnaście w swoim kraju przeprowadzał reformy natury społeczno – politycznej, aż poległ podczas bitwy z Litwą pod Włodzimierzem. Jurij Lwowicz pozostawił dwóch synów – Andrzeja i Lwa; niebawem litewski książę Giedymin odebrał Lwu księstwo łuckie, a Andrzej też nie długo pozostał księciem chełmskim, zmarł bowiem w 1324 roku.

Z pokolenia Romana Halickiego pozostały tylko dwie księżne – jedna z nich Wusza, była poślubiona Lubartowi Giedymowiczowi, księciu litewsko – wołyńskiemu, a druga Maria – wydana została za mazowieckiego księcia Trojdena, któremu urodziła syna Jurija. Lubart otrzymał w spadku Wołyń, a Jurij – Ruś Halicką, Lubart był wyznawcą prawosławia, a Jurij, chociaż wychowany w duchu prawosławia, to za namową polskiego króla przeszedł na katolicyzm i zaczął przesładować prawosławnych z Rusi Halickiej, dając przy rozwiązywaniu różnych problemów pierwszeństwo Polakom, za co zapłacił głową – został ścięty we Włodzimierzu w 1340 roku. Wówczas papież by ukarać Haliczian wysłał przeciwko nim polskiego króla – Kazimierza Wielkiego. Kazimierz zajął Lwów, Przemyśl oraz inne miasta, ale Wołynianie i Haliczanie zebrali się pod wodzą Lubarta Giedymowicza, dzielnego bojara oraz księcia Daniela Ostrogskiego i wypędzili Kazimierza. Rządy w całym kraju przejął Lubart (do roku 1349), ale po 9 latach Kazimierz zebrał wielkie siły i ponownie zajął Ruś Halicką i część Wołynia.

Petro Antonowycz

*Z ukraińskiego przełożyła
Regina Smoter-Grzeszkiewicz*



PRZYPISY:

[1] Informacje z roku 1918, kiedy ukazała się po raz pierwszy ta publikacja.

[2] Latopisy, kroniki staroruskie z XI-XVII wieku pisane w klasztorach i na dworach książęcych. Najstarszym z nich jest «*Powieść doroczna*».

[3] Plemię ruskie zamieszkujące w początkach wczesnego średniowiecza rejon górnego Bugu. Wg. informacji zawartych w «*Powieści dorocznej*» mieli być uciśniani przez Awarów, wg. L. Leciejewicz, «*Słownik kultury dawnych Słowian*», Warszawa 1972, s. 98.

[4] Autor dzieł «*Historia Romana*» i «*Historia Gotów*», która zawiera bardzo dużo informacji o Antach, i Sklawinach, wg. L. Leciejewicz, «*Słownik...*» dz. cyt., s. 160

[5] Masudi (zm. w 956 roku), geograf i podróżnik arabski. Zachowały się tylko dwa jego dzieła: *Złote łąki* (947) i *Księga spostrzeżeń*, które zawierają wiele informacji o Słowianach i innych ludach Europy, wg. L. Leciejewicz «*Słownik...*», dz. cyt., s. 228.

[6] Latopis z początków XIII wieku, powstał w klasztorze Peczerskim (Ławra Peczerska). Jego autorstwo przypisuje się trzem osobom (choć zapewne mogło być ich więcej): Nestorowi (w latach osiemdziesiątych XI wieku był mnichem Ławry Peczerskiej, Nikonowi (od 1074 roku był ihumenem (przeorem) wspomnianego klasztoru, zmarł w 1088 roku, Sylwestrowi (ihumen jednego z klasztorów w Kijowie). «*Powieść wriemiennych let*» («*Powieść minionych lat*») nie zachowała się w oryginale, znana jest jedynie z tzw. kodeksów, przede wszystkim Ławrientowskiego, który powstał w II połowie XIV wieku i Hipackiego. Powstała w Kijowie w latach dwudziestych XII wieku, pisanie zakończono w 1113 roku w Moskwie. Pierwszym redaktorem był Nestor. «*Powieść'...*» wydawana była kilka razy. Ostatnie rosyjskie

wydanie ukazało się w opracowaniu D. S. Lichaczowa. Zawiera także dane odnośnie pogańskich wierzeń, wymieniony jest m. in. Swarozyc, czczony w Radogoszczy.

[7] Można domniemywać, że «*Wołynianie*» wzięli nazwę od od miasta Wołyń albo Wielin, jakie znajdowało się nad Bugiem (zachodnim), w miejscu, gdzie wpada do niego rzeka Huczwa. Teraz znajduje się w tym miejscu Gródek Nadbużny, w pobliżu Hrubieszowa; do dziś znajdują się w tych okolicach ślady wałów obronnych [przypis P. Antonowicza].

[8] Nowogród, miasto w zachodniej Rosji położone nad rzeką Wołchow, od X wieku jeden z czołowych ośrodków Rusi, zlokalizowany na skrzyżowaniu dróg wodnych łączących Dniepr i Wołgę z Bałtykiem. Był ważnym pośrednikiem w handlu dalekosiężnym oraz dużym ośrodkiem rzemiosła, wg. L. Leciejewicz, «*Słownik...*» dz. cyt., s. 265.

[9] Plemię wschodniosłowiańskie zamieszkujące obszar Prypeckiego Polesia w dorzeczu Teterewu, wg. L. Leciejewicz «*Słownik...*», dz. cyt., s. 83.

[10] Perun, bóg gromu i burzy, jego kult prawdopodobnie sięgał czasów wspólnoty indoeuropejskiej. Perun postrzegany był jako naczelne bóstwo dynastii Ruryka, wodza drużyny Waregów (zm. 979 roku), wg. «*Powieści dorocznej*» był twórcą ruskiej dynastii książęcej. Drzewem poświęconym Perunowi był dąb, wg. L. Leciejewicz «*Słownik...*», s. 285, 335.

[11] Zdaniem uczonych, m. in. Lecha Leciejewicza, autora «*Słownika kultury dawnych Słowian*» (Warszawa 1972, s. 67) Chors (perski Khor, Khores był bóstwem Słońca, jednym z tych bóstw, któremu Włodzimir Wielki wystawił w Kijowie posąg, wymieniany jest w «*Powieści dorocznej*» i «*Słowie o Wyprawie Igora*».

[12] Waregowie, członkowie skandy-

nawskich drużyn wojennych zaciągający się (IX-X wiek) na służbę do książąt ruskich i cesarzy bizantyjskich. ich nazwa prawdopodobnie wywodzi się od słowa «var» – «przysięga», określającego stosunek drużyny wobec wodza, L. Leciejewicz, «Słownik...» dz. cyt., s. 396.

[13] Obecnie Istanbuł w Turcji, miasto nad Bosforem, do końca XII wieku największy ośrodek miejski Europy, centrum produkcji, L. Leciejewicz, L. Leciejewicz «Słownik...» dz. cyt., s. 183.

[14] Ruryk (zmarł w 879 roku), wódz drużyny Waregów, wg. «Powieści dorocznej», założyciel ruskiej dynastii książęcej.

[15] Czudź, nazwa plemion zamieszkujących nad Zatoką Fińską, Ryską i Jeziorem Czudzkim, m. in. przodków dzisiejszych Estończyków.

[16] Meri, plemię fińskie zamieszkujące terytorium pomiędzy górną Wołgą i Kłazmą, wspominał o nich już Jordanes (łaciński historyk żyjący w VI w.) w gospodarce Mari obok rolnictwa duża rolę odgrywała hodowla zwierząt i łowiectwo, L. Leciejewicz, «Słownik...» dz. cyt., s. 230.

[17] Plemię słowiańskie zamieszkujące tereny w dorzeczu Desny, Sejmu i Suly, w roku 884 plemię zostało podporządkowane Rusi.

[18] Derewlanie, plemię wschodniosłowiańskie zamieszkujące obszar Prypeckiego Polesia w dorzeczu rzeki Twer, pierwsze grody wzniesione przez Derewlan na omawianym obszarze pochodzą z VII-VIII wieku.

[19] Plemię wschodniosłowiańskie zamieszkujące w dorzeczu Dniepru i Desny, jego nazwa wywodzi się od protoplasty o imieniu Radym, L. Leciejewicz, «Słownik...» dz. cyt., s. 325

[20] Plemię zamieszkujące w X wieku północno-wschodnie Czechy i Półwysep Bałkański.

[21] Plemię ruskie zamieszkujące w początkach wczesnego średniowiecza rejon

górnego Bugu, L. Leciejewicz, «Słownik...» dz. cyt., s. 67.

[22] Plemię zamieszkujące obszar pomiędzy Dniestrem, Prutem i Dunajem niemalże w pobliżu Morza Czarnego; ich nazwa pochodzi prawdopodobnie od słowa «Tyras» – tak starożytni Grecy nazywali Dniestr, L. Leciejewicz, «Słownik...» dz. cyt., s. 392, 86.

[23] Wg. L. Leciejewicz, «Słownik...», dz. cyt., s. 151, 225.

[24] W wyniku przeprowadzonych na terenie grodziska Korosteń wykopalisk odkryto ślady osadnictwa z wczesnego średniowiecza z oraz kurhany ciałopalne z IX-X w, wg. L. Leciejewicz, «Słownik...», dz. cyt., s. 151.

[25] Znaczenie tego terminu ulegało zmianom w zależności od stopnia rozwoju administracyjnego danych terenów. Do wieku X terminem tym określano wspólnotę wiejską i położone w jej obrębie (centralnej części zamieszkałego terenu) centrum targowe. W okresie późniejszym pod pojęciem «pohost» rozumiano jednostkę administracyjno-terytorialną obejmującą kilkadziesiąt lub więcej wsi skupionych wokół ośrodka zarządzającego przez specjalnego urzędnika książęcego, który pobierał podatki, L. Leciejewicz, «Słownik...», dz. cyt., s. 298.

[26] Wiorsta, dawna rosyjska miara długości, równa 1, 0668 km.

[27] Tryzna, obrzędowa uczta urządzana podczas pogrzebu, albo w niedługim czasie po dokonaniu pochowku. Do naszych czasów przetrwała w szczątkowej formie jako stypa. Po raz pierwszy obrzęd ten wspomniany został w «Powieści dorocznej» i nazwany «podstawowym napojem». W czasie tryzny był mód, jak głoszają przekazy, księżna Olga podczas tryzny na pogrzebie Igora (jej męża) upiła miodem Drewlan, by później dokonać na nich krwawej zemsty za śmierć Igora.

Wg. L. Leciejewicz, «Słownik...», dz. cyt., s. 389-390.

[28] Wyprawę przeciwko Bułgarom (w sojuszu z Bizancjum) zorganizował Światosław w 967 roku, osiadł wówczas w Presławcu n. Dunajem, miście stanowiącym ważny punkt strategiczno-handlowy.

[29] W roku 971 zawarł w Drestrze ugodę z Bizancjum, w drodze powrotnej do Kijowa zabili go przy dniewowych porohach (skalnych występach na rzece Dniestr); Pieczyngowie (lud tureckiego pochodzenia, który pojawił się ok. 889 roku na stepach nadczarnomorskich; w roku 896 zamieszkiwali nad Dunajem), a z jego czaszki zrobili puchar. Wg. L. Leciejewicz, «Słownik...», dz. cyt., s. 290, 378.

[30] Księżna Anna, córka cesarza Romana II, siostra cesarza Bazylego II, żoną Włodzimierza Wielkiego została od roku 988-989.

[31] Obszar zamieszkały przez Drowlan – Polesie Prypeckie w dorzeczu Teterwu.

[32] Wsiewołod I Jarosławowicz (1030-1093), książę perejesławski (od roku 1054), czernichowski (od 1077), wielki książę kijowski (od 1078 roku), syn Jarosława Mądrego. Razem z braćmi Izjasławem i Światosławem prowadził walki z Połowcami, brał udział w sporządzeniu «Prawdy Jarosława» – pierwszego spisane go zbioru praw opracowanych przez Jarosława Mądrego, znanych bardziej pod nazwą «Ruska Prawda», który wydany został w latach 1054-1073. Do dnia dzisiejszego zachowało się wiele odpisów «Prawdy Jarosława», jeden z nich znajduje się w «Nowogrodzkiej księdze kościelnej z 1282 roku», gdzie m.in. czytamy: «Sąd Jarosława Włodzimierzowica – Ruska Prawda. Jeżeli mąż zabije męża – niech się mści brat za brata... Po Jarosławie znów zebrałi się synowie jego Izjasław, Światosław, Wsiewołod i ich mężowie [doradcy?] Kosniaczko, Perenieg,

Nikifor i znieśli zabijanie za głowę, ale [wprowadzili] okup pieniędzmi (kunami), a wszystko co inne co orzekł Jarosław, tak i synowie jego ustanowili...», K. Bazylewicz, S. Bachruszyn, A. Pankratowa, A. Facht, «Historia ZSSR» cz. I, Warszawa 1954, s. 53.

[33] Przydomek ten uzyskał po zabójstwie trzech braci: Borysa, Gleba i Światosława; dwaj pierwsi zostali zaliczeni przez Kościół Prawosławny w poczet świętych.

[34] Smoleńsk gród Krywiczów położony na szlaku wodnym prowadzącym od Bałtyku do Morza Czarnego.

[35] Mianem «izgajów» nazywano na Rusi rodzaj ludności niewolniczej, która w XI wieku statusem zbliżona była do polskiej czeladzi, pozostawała na utrzymaniu księcia lub pana.

[36] Tmutorakań, gród na Półwyspie Tamańskim na Krymie, otoczony mocnym murem z surowej cegły, od X wieku był siedzibą książąt ruskich.

[37] Czernichów, gród zlokalizowany na prawym brzegu Desny, drugi po Kijowie pod względem ważności.

[38] Gród zlokalizowany nad Prypecią na Polesiu (obecnie pld. Białoruś), należał do plemienia Dregowiczów; pierwsze wzmianki o Tyrowie odnotowano w 980 roku.

[39] W wieku XI-XII pełnił przez pewien czas funkcję rezydencji książęcej, obecnie uczeni niw sa pewni co do lokalizacji Dzwiniogrodu.

[40] Koczowniczy lud pochodzenia tureckiego ze znacznymi domieszkami nordycyckimi; walki z Rusią toczyli Połowcy od połowy XI do końca XII wieku.

[41] Oryginalny tytuł «Słowo o polku Igorowie», najcenniejszy utwór literatury staroruskiej, opisujący historyczną wyprawę księcia nowogrodzkiego Igora Światosłowicza na Połowców w 1185 roku, jego klęskę i ucieczkę. Utwór powstał przypuszczalnie w 1187 roku w środowisku dworskim i jest znany z jedyne go

(zaginione obecnie) odpisu z XVI wieku, L. Leciejewicz, dz. cyt, s. 359. Tekst eposu dostępny jest m.in. w wypisach z literatury ruskiej dla klasy VIII radzieckiej szkoły średniej – «Русская Литература. Хрестоматия для 8-класса средней школы»; составили Н.Л. Броский, Н. Кувиков, Москва 1950, с. 7-24.

[42] Rataje, ludność wiejska, oracze chodzący nad pługiem.

[43] Monomachowicze, potomkowie Włodzimierza Monachomacha: Mścisław, Jaropelk i ich synowie, zarządzający księstwem perejesławskim, zlokalizowanym na wschód od Kijowa; obszar księstwa sięgał poza rzekę Workślę aż do górnego Dońca.

[44] Syn Mścislawa, zwany także Pantalejmonem w latach 1146-1154 był wielkim księciem kijowskim.

[45] Rządy na Ziemi Halickiej, zwanej także Rusią Halicką Jarosław Ośmiomysł objął w roku 1153. przydomek «Ośmiomysł» oznacza «Rozumny», a użyty został tylko w «Słowie o wyprawie Igora...», vide przypis. 43.

[46] Stosował w odniesieniu do nich najokrutniejsze represje, konfiskował ziemie bojarskie ..., wg. L. Bazylow, «Historia Rosji», Warszawa 1985, s. 109, cz. 1.

[47] Aleksy Komnen, cesarz bizantyjski, ojciec Anny Komnenny, która poświęciła mu interesująca książkę zatytułowaną «Aleksjada». Podczas pierwszej wyprawy krzyżowej (1096) cesarz Aleksy zgromadził swoje wojsko by ruszyć na odsiecz oblężonym w Antiochii, ale na skutek namowy hr. Stefana z Blois, zrezygnował z realizacji tego przedsięwzięcia, wg. R. Pernoud, «Kobieta w czasach wypraw krzyżowych», Gdańsk 1995, s. 9, 21, 28.

[48] W «Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich», red. B. Chlebowski, Warszawa 1880 t. I, str. 555 znajdujemy informację, że w «Latopisie Ipatijewskim (Hipac-

kim)», wyd. Petersburg 1843 – pod datą 1259 znajduje się zapis, iż Daniel Halicki, książę halicko-wołyński, osiadłszy w Chełmie, chcąc umocnić miasto i uczynić je bardziej obronnym, zbudował niedaleko niego wieżę, z której widać było okolice Chełma, a ponadto słup kamienny (stołp) zwieńczony orłem wyciosany z kamienia, oddalony o milę od miasta. Słownik geograficzny Królestwa Polskiego identyfikuje pierwszą z tych wież z wieżą w Bielawinie (o pół mili od miasta), obecnie zachowaną jako resztki fundamentów w granicach administracyjnych Chełma, drugą zaś z wieżą w Stołpiu (odległość 1,5 mili od miasta); miały to być wieże strażnicze, tzw. ostrzeżniki, strzegące podejść do zamku książęcego położonego na Wysokiej Górcie w Chełmie, uniemożliwiające nieprzyjacielowi niespodziewane zbliżenie się do miasta, wg. «Chełm w Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich», Tom I (Aa – Dereieczna) z 1880 r.; Oryginalny zapis Latopisu Ipatijewskiego dotyczący 1259 roku jest dostępny w internetowym wydaniu «Latopisu Ipatijewskiego» (w języku staro-cerkiewno-słowiańskim).

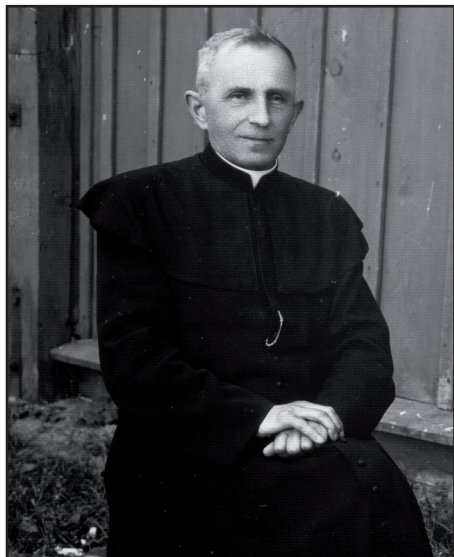
[49] O walce tej kronikarz napisał: «*rzucał się na pohańców jak lew, był jak ryś, niszczył ich jak krokodyl, ziemie ich oblatywał jak orzeł, by l mężny tak, jak tur, naśladował dziada swego Monachomacha*», wg. K. Bazylewicz, S. Bachruszyn, A. Pankratowa, A. Focht, «Historia ZSRR» cz. I. Warszawa, PZWS, s. 68.

[50] Jedno z głównych miast Rusi Kijowskiej, stolica księstwa, siedziba biskupa. Istniał już w pierwszej połowie X wieku stanowiąc ważne ogniwo obronne osłaniające Ruś przed ludami stepowymi. L. Leciejewicz, «Słownik...», dz. cyt, s. 285.

[51] Ułus, posiadłości chana, osady tatarskie, tabory...
cdn

Kapłani diecezji łuckiej - Священники Луцької дієцезії

KS. PRAŁAT KANONIK MIECZYŚLAW ALEKSANDER ROSSOWSKI. PATRIOTA, SPOŁECZNIK



Ks. pral. Mieczysław Rossowski, Molina (1950) Fot. *Wikimedia Commons*

Urodził się w Warszawie 19 sierpnia 1894 jako czwarte dziecko Karola i Pauliny z Waszków. Chrzest otrzymał 9.09.1894 w kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie należącym wówczas do parafii św. Andrzeja. W domu otrzymał staranne wychowanie religijne i patriotyczne. Szczególnie bliski był rodzicom duch powstania styczniowego i losy polskich zesłańców, które nieodłącznie związane były z historią rodziny.

W ROSJI NAD DOŃCEM

Karol Rossowski jako ceniony inżynier w 1904 roku przyjął prace w fabry-

ce Solvay w Lisiczańsku nad Dońcem w Rosji, w jednym z zakładów koncernu chemicznego. Rossowscy wraz z dziećmi wyruszyli w nieznane 1500 kilometrów od Warszawy. Dziesięcioletni Mieczysław kontynuował naukę w oddalonym o 60 km. mieście Bachmut znanym z wydobycia soli kamiennej, zamieszkałym głównie przez kolonistów z Serbii. Po dwóch latach, Rossowscy zaniepokojeni o przyszłość dzieci wrócili do Polski. Karol podjął pracę w charakterze urzędnika w hucie Bernarda Hantke w Rako-



Budowa kościoła w Kątach (1929)

Fot. *Wikimedia Commons*



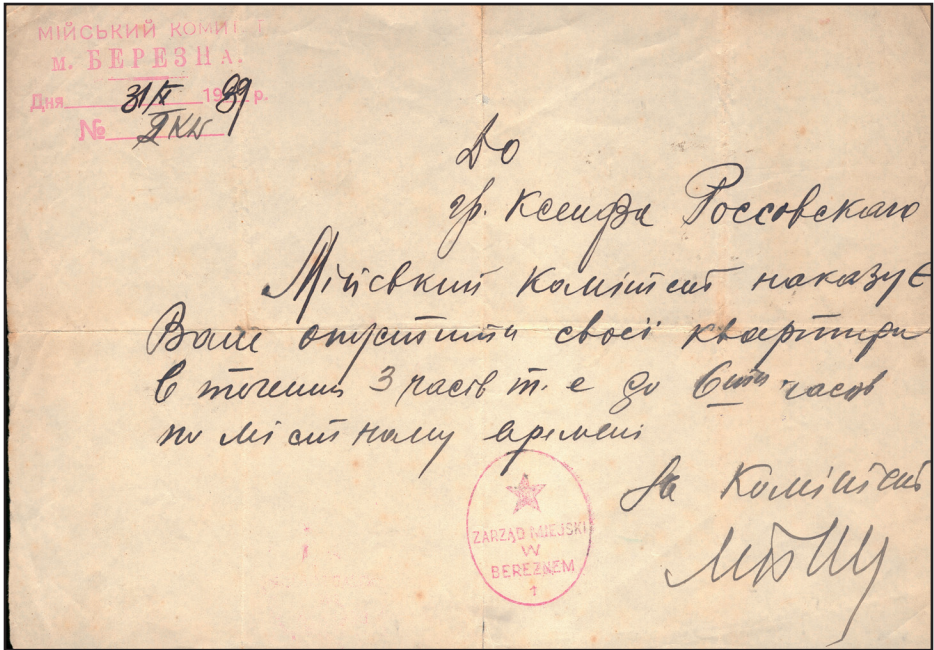
Zdolbunów. Rodzina Rossowskich: siedzą przy stoliku Paulina i Karol Rossowski (urzędnik), wokół nich ich dzieci: siedząca z lewej Jadwiga Rossowska (urzędniczka), stoją od lewej - Jerzy Rossowski (zawodowy wojskowy, poległ w 1939 r.), ks. Mieczysław Rossowski, wówczas katecheta w parafii w Zdolbunowie, Maria Rossowska (nauczycielka), Jan Rossowski, Józefa Rossowska (nauczycielka). Własność D. Małeckiej
Fot. <https://www.nawolyniu.pl/>

wie k. Częstochowy (obecnie ISD Huta Częstochowa). Wybuchła I wojna światowa. Mietek uczył się w prywatnym gimnazjum Czesława Bagińskiego w Częstochowie. Wojenna zawierucha sprawiła, że młodzieniec trafił do Włocławka, gdzie kontynuował edukację w miejscowym liceum. Pięć lat później dwudziestopięcioletni młodzieniec wstąpił do Seminarium Duchownego w Łucku, gdzie w 1923 r., otrzymał święcenia kapłańskie z rąk biskupa Ignacego Dubowskiego. Wkrótce 24 czerwca 1923 r. Raków świętował prymicję, podczas których kapłan w parafialnym kościele odprawił Mszę Świętą.

OD SZUMSKA DO ZDOŁBUNOWA

Pierwszą placówką księdza Mieczysława Rossowskiego był Szumsk k. Krzemieńca, gdzie w latach 1923-1925 był prefektem w szkole. Związany z Kościoł parafialnym, pw. Niepokalanego Poczęcia NMP należącym do najciekawszych kościołów na Wołyniu przede wszystkim ze względu na architekturę. Podziw budziły wieże, z których bijąc e dzwony napępniały duchem wiary i odwagi z niej płynącej.

Kolejnym miejscem księdza Mieczysława była parafia pw. św. Apostołów Piotra i Pawła w Zdolbunowie, gdzie w latach w latach 1925-1928 pracował jako



Nakaz eksmisji wydany przez NKWD (1939)

Fot. Wikimedia Commons

katecheta. To co charakteryzowało księdza Mieczysława to pobożność, pracowitość i zaangażowanie. W latach 20-tych zostało wykonane w Zdołbunowie zdjęcie Pauliny i Karola Rossowskich z dziećmi Jadwigą, Jerzym, Mieczysławem, Marią, Janem i Józefą. Z Szumskiem związała się siostra Józefa, która wyszła za mąż za kapitana Wojska Polskiego Jerzego Auterhoffa, Polaka pochodzenia austriackiego, właściciela majątku „Zamczyisko” oddalonego o 6 km. od Szumska. Jerzy Auterhoff był człowiekiem szlachetnym, działaczem społecznym. W latach 1929-1939 pełnił funkcję wójta gminy Szumsk.

BUDOWNICZY KOŚCIOŁÓW W KĄTACH I HORYŃGORODZIE

Decyzją władz kościelnych wysłano ks. Mieczysława Rossowskiego w 1928 na nowo utworzoną parafię w Kątach

(Kutach) wydzieloną z parafii w Szumsku. Wieś położona dziesięć kilometrów od Szumska zamieszkała była głównie przez Polaków. To tutaj w 1943 istniała mocna samoobrona, która dała schronienie blisko 2 tysiącom Polaków przed grasującymi bandami OUN-UPA. Młody proboszcz energicznie zabrał się do pracy. Nawiązał współpracę z chętnymi mieszkańcami, a szczególnie nauczycielem Tadeuszem Bemem inicjatorem nie tylko budowy kościoła, ale i szkoły. Wkrótce powstają kolejne instytucje takie jak Kasa Stefczyka, Spółdzielnia Spożywców „Jedność” ze sklepami wielobranżowymi i spożywczymi, oraz Dom Ludowy. Rozwijało się życie religijne i kulturalne. Tadeusz Bem był wielkim wsparciem proboszcza. Prowadził Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, liczące ok. 150 osób, które między innymi wystawia-

ło przedstawienia teatralne, z których dochód przeznaczony był na budowę świątyni. W końcu powstaje Ochotnicza Straż Pożarna, z prezesem Bemem.

Biskup nie oszczędzał młodego proboszcza. Już 1932 r. zostaje proboszczem parafii p.w. Najświętszej Maryi Panny Jazłowieckiej w Horyńgrodzie k. Równego, na lewym brzegu Horynia. Był tu pałac Czetwertyńskich, rozebrany po II wojnie światowej. Ten sam los spotkał kościół zniszczony wcześniej przez Rosjan na skutek represji po powstaniu styczniowym. Wierni gromadzili się w kaplicy cmentarnej fundacji Czetwertyńskiego.

Na pomoc pospieszył niezawodny 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich ze Lwowa. To tutaj powstała po wojnie z bolszewikami w 1920 r. Osada Krechowicka, zamieszkiwana przez osadników wojskowych utrzymujących kontakty ze swoimi pułkami.

W 1937 r. zawiązał się komitet budowy kościoła pw. NMP Jazłowieckiej w Osadzie Jazłowieckiej oraz domu przy tym kościele dla Sióstr Niepokalanek. Patronat nad budową przyjęli: prymas Polski August kardynał Hlond oraz marszałek WP Edward Rydz-Śmigły. W sierpniu 1939 r., miało się odbyć poświęcenie kamienia węgielnego. Niestety wybuch wojny zniweczył ten plan. Osadnicy w większości zostali 10 lutego 1940 roku wywiezieni na Syberię, a materiał budowlany został rozgrabiony przez ludność ukraińską.

BEREŻNE NAD SŁUCZĄ

Kolejnym wezwaniem dla czterdziestoczteroletniego księdza jest Bereźne nad Słuczą. W 1938 roku biskup Adolf Szełążek powołał księdza Mieczysława na funkcję dziekana dekanatu kostopolskiego, którą sprawuje do 1945 do chwili wyjazdu do Polski. Zaraz po objęciu parafii 17 września 1938 roku nowy proboszcz zaszczycony jest zorganizowaniem uro-

czystości obchodów 50-lecia kapłaństwa księdza bpa Adolfa Szełążka. Gościem szczególnym jest prymas Polski ks. kardynał August Hlond. Wydarzenie to zbiegło się z agresją Sowieców na Polskę.

Tymczasem w Bereźnm szukają schronienia uciekinierzy z Polski. Żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza opuszczają miasto. Ks. Mieczysław Rossowski notuje w zapiskach „(...) 23 września, wkraczają do Bereźnego wojska rosyjskie. Polscy uciekinierzy głodują; oddałem do rzeźni krowę na rzecz głodujących rodaków, wystarczyło to tylko na jeden dzień; dałem jeszcze świnię utuczoną, nagotowałem kapuśniaku i każdy dostał po kawalczku mięsa, więcej już dać nie mogłem, bo na plebanii kilkanaście osób, którym także trzeba było coś przygotować. (...)”.

Niestety jeszcze we wrześniu przychodzi smutna informacja o bracie Jerzym rannym 17 września podczas obrony Lublina. Kapitan Jerzy Rossowski umiera od ran 2 października. Kolejny dramat ma miejsce 1 listopada 1939 r. kiedy ks. Mieczysława wraz z matką, bratem i gospodynią Marią Gąsiorowską eksmitują z plebani enkawudziści. Pomoc wyrzucenym zapewnia Teofil Dywiszka właściciel nieczynnego browaru. Sowieci organizują kolejne wywózki na Sybir. Ksiądz Rossowski dowiaduje się, że ten okrutny los spotkał jego ukochaną siostrę Józefę i bratanicę Danusię z Szumska. Z tego co się dowiedział, enkawudziści przyszli w nocy dali siostrze dwie godziny czasu na spakowanie i wywieźli w nieznaną. W 1943 roku „Zamczysko”, dom i zabudowania gospodarze zostały spalone przez OUN-UPA. Po wojnie ukazały się jej wiersze „Wiersze pisane w Kazachstanie”, zostały opublikowane w piśmie „My, Sybiracy” (Łódź 1991), a wspomnienia „Podróż w nieznaną” na łamach „Głosów Podolan” (Warszawa 2005).

Ksiądz Mieczysław przeciwności jest dzielny. Organizuje zbiórki wysyłając zesłańcom paczki z żywnością i odzieżą. Ukrywa poszukiwanych, organizuje pomoc.

ZBRODNIENIE OUN UPA

Z dniem 17 stycznia 1942 biskup Adolf Szelażek podniósł kapłana go do godności honorowego kanonika kapituły ołyckiej. W związku z brakiem kapłanów 25 listopada 1943 powierzył mu także parafię w Kostopolu. Zostaje opiekunem prześladowanych i męczonych przez OUN UPA. Bereźne stają się centrum terroru. Banderowcy napadają na kolejne wioski wokół miasteczka. W nocy z 25 na 26 marca 1943 r. UPA napadła na polskich osadników we wsi Lipniki k. Bereznego. Wioska zostaje spalona. W bestialskim mordzie zginęło 156 osób. Plebania ks. Rossowskiego udzielała schronienia uciekinierom z różnych stron. Między innymi znajduje tu opiekę rodzina Hermaszewskich z późniejszym kosmonautą Mirosławem Hermaszewskim, cudownie wyrwanym śmierci. Hermaszewscy zostają na plebani do 1945 roku.

Zaniepokojony sytuacją Bp Adolf Szelażek w liście z 30.09. 1943 r do ks. M. Rossowskiego: *„Najukochańszy księżę kanoniku, Dowiedziałem się o niebezpieczeństwie, jakie przeszedłeś – o szczęśliwym uniknięciu tego niebezpieczeństwa, o ciężkich ofiarach wśród Twoich parafian, a moich diecezjan. (...) Jakkolwiek podziwiam bohaterski hart Twej duszy i poświęcenie życia swego dla zbawienia dusz i dla sprawy Chrystusa Pana, jednak jeżeli uznasz, że trzeba by usunąć się z Bereźna, że Pan Bóg nie wymaga – abyś wystawiał się na śmierć pewną – usunięcie się uważać trzeba będzie za zupełnie usprawiedliwione”*. Ksiądz Mieczysław nie zważa na te słowa. Jest przekonany, że potrzebują go parafianie.

Stałem gościem księdza Rossowskiego był kapucyn ojciec Serafin Kaszuba

(obecnie trwa proces beatyfikacyjny zakonnika). Ojciec Serafin, który kilkakrotnie uniknął śmierci z rąk banderowców był proboszczem Dermanki. Mimo zagrożenia rokrocznie organizował pielgrzymkę do Matki Boskiej w Kzimierce, nazywanej wołyńską Częstochową.

Miesiąc przed wyjazdem do Polski a 25 maja 1945 ks. Mieczysław Rossowski przyjął funkcję czasowego administratora diecezji żytomierskiej. 6 czerwca 1945 z ostatnim transportem ekspatriantów opuścił Bereźne.

LATA POWOJENNE

W Polsce zgłosił do diecezji łódzkiej. Trudno powiedzieć dlaczego akurat tutaj. Może powodowała to zbliżona nazwa obecnej diecezji do diecezji łuckiej, której oddał blisko 30 lat swojego życia. Ordynariusza biskup Włodzimierz Jasiński 25 czerwca 1945 r. powierzył mu parafię Modlna k. Łodzi, zdemastrowana przez Niemców, którą odbudował. W 1949 r. ks. biskup Adolf Szelażka nadał mu oficjalnie godność prałata kapituły ołyckiej. W 1960 r. został kapelanem przy kościele Chrystusa Króla w Zgierzu. Od 1968 r. do śmierci był rezydentem przy parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Łodzi. Zmarł w drugi dzień Bożego Narodzenia 1982 roku. Pochowany 29 grudnia w rodzinnym grobie na cmentarzu w Modlnej.

Ryszard Frączek

Bibliografia:

Józef Jasiński, *«Wspomnienia o śp. ks. prał. Mieczysławie Rossowskim w epoce jego życia 1894-1982»*. Niepublikowany maszynopis, Grudziądz 1957, s. 18-23.
Bp Adolf Szelażek, *«List do księdza Mieczysława Rossowskiego»* z 30.09. 1943 r. *«Materiały do Wołyńskiego Słownika Biograficznego. A»* pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa, Biały Dunajec – Ostróg 2012.

Literatura - Airepatypa

Ułás SAMCZUK

W O Ł Y Ń. Powieść w trzech tomach
tom II: WOJNA I REWOLUCJA
WOJNA IV

Rozpoczęło się nowe życie, w sąsiedztwie frontu. Armatnie wybuchy, stały się powoli ulubioną muzyką. ...Wieś, żyła wojną. Szkoła uciekła. Zgraje młodzieży, pasą po polanach i pustkowiach bydło, palą kupy liści, budują schrony, okopy, atakują, gotują w kuchni i dostają porcje. Jesień, szybko mija. Szlakiem, ciągną kolumny, latają kozacy ze sztabu korpusu, który zatrzymał się i osiadł w Żołobkach. Rozpoczyna się, popyt na owies i siano. „– Aha, myśli Matwiej. – Już nie musimy iść sami do nich, prosić. A ile tego owsa, zniszczyli...” Matwiejowi, temu chłopu, który ma połamane przez ciężką pracę ręce, odciski na dłoniach, od kiedy je nosi; te oczy, w których odbija się bezdenność zmagania, męki, uporu. Jemu wszystko staje się jasne. On widzi, jak na dłoni, całe położenie i nie trudno rozumnemu człowiekowi je ocenić. Patrzy i zna ludzi – swoich i cudzych ...I on mówi: – Wszystko upada, bo nie ma gospodarza!.. A bez niego, wszystko „na nic”. To był ciężki, i surowy, osąd. Ale innego, Matwiej nie znajdował. Wojsko, zdawało mu się, być stworzone po to, by rujnować. I ta rujnująca siła, przeważała nad tymi, którzy męczyli się, do utraty sił, by sprawną i twardą ręką, trzymać ster gigantycznego okrętu.

– Taka, tatarska, krew. W Surażu, jest „Baza uzupełnień”. Cienka nitka kolejki, wiąże ją z Ostrogami. Armatnia mowa, nie milknie. Poszły, marszowe oddziały,



Ułás Samczuk, Praga 1932

Fot. Archiwum

uzupełnień. Tylawka, jest w środku drogi, między frontem i bazą zapasów. Niemal każdego dnia, dzieci wieczorem zbierają się i udają pod las żołobiecki. – Moskale idą!...Znajome, niezapomniane słowa. A z lasu, wysuwają się oddziały, jeden za drugim, bez krzyku i pieśni. Toż nie są to „pierwsze boje”. Teraz, idą bro-

daci Sybiracy, młodziutcy kacapi z Rjazania, Wołogdy, Wjatki, kto wie, z jakich krajów, jakich ziem... Rasy, języki, barwy. W Tylawce, nocleg. Zakwaterowanie, rozpisują na wrotach, kredą: 5, 10, 15, różnie. Matwiewowi, do chatynki wciskali od 5 do 12. Mniej, nie można było, więcej nie wchodziło. Po pojawieniu się we wsi, kompanie rozpoczęły handel. Nowiutkie buty, pałatki, watowane kufajki, spodnie, wiązane kałesony. Żołnierz, sprzedaje diabłu, nawet duszę! Tak! Zamieniają na stare, sprzedają, co tylko, mogą. – Ociec! Zamieniaj buty!.. Dawaj jakiegokolwiek, byle weszły na nogi... A wam, co... Napluć. W Krzemieńcu dadzą nowe. Nie pozwolą umierać w starych. I wymieniali. Na żywność, na niepotrzebne rzeczy, z dopłatą podwójną. A kompanie wychodziły ze wsi, jakby obrabowane. Wychodzą i nie wracają. Niewola, śmierć, rany...

Z Krzemieńca, pociągi ciągną „*mar-szowe kompanie*” rozwożonych „*po ty-lach*” rannych. Do niewoli, trafiały ty-siące. Ziemię, zabrukowali kostkami. Im bliżej do zimy, tym więcej we wsi „*furażerów*”. Już nawet, jest popyt, na słomę. Także, jest moda na jęczmień. Sprzedał Matwiew pierwsze pięćdziesiąt pudów owsa po rublu, dwadzieścia. No, to już dobra cena, ale jeszcze nie najlepsza. Furażer wciska Matwiewowi biały papier do podpisu. – Nie, panie furażer, nie podpiszę. – Pisz ojciec. Wszystko jedno... Pisz! – E, nie ...Nie mogę. Charakter, nie pozwala. – Twardy z was dziażdżka... No, do-brze... I pisze dokument, z ceną dwa ruble za pud. Patrzy na to Matwiew: nieuczciwe, to jest. Ale... I podpisał. Nie bój się, ojciec. Nikt cię nie skrzywdzi. A żyć, i nam trzeba. – Kradną, aż się kurzy – mó-wił potem Matwiew. – Kradnie, kto może. Miliony, złodziei... Nie będzie dobrze, oj, nie będzie. A furażerowie, (kwatemi-strze), oficerowie oddziałów, wypasieni

jak świnie. Znajomy Matwiewa, z białymi wąsikami kwatermistrz, zawsze nachodzi Matwiewa za owsem, jęczmieniem, słomą. Przenocuje, zamówi kurkę, zapłaci dobrą cenę. Wieczorem, siorbiąc herbatę, „*Kuź-mę Kriuczkowa*” otwiera. – Ech, życie, życie! – wyrwa mu się czasem, gdy wy-ciągnie się na pościelonym w chacie ma-teracu. – Widzę ojciec, że masz na wszyst-ko, swoje spojrzenie... Rozumiem... No, wojna, swołocz, zniszczyła człowieka Ru-skiego... Przyszła gangrena... Gnije, nasz człowiek.

– Bo nie ma gospodarza... – Ot, co, – odpowiada Matwiew. – Tak. Może ty i masz rację... Caryszka nam się rozleciała... – O! Ciebie, by ojciec, trzeba, na cara... Aa!... – „*Straszna myśl, bij cię siła Boża*” – myślał Matwiew. On takiego czegoś, w ogóle nie miał na myśli. Car jest carem. Cara, nikt zresztą nie uważał za gospodarza. Car, jest sobie carem. Siedzi i panuje, niczym kapłan w Służbie Bożej, w cerkwi. Gospodarzą inni – różni mini-strowie. Ale ci się nie nadają. Kto wie, co to tam za ministrowie, ale armię obsadzi-li paniczykami białorękimi, co to ni be, ni me, nie rozumieją. Lezie tobie taki w oku-larach z cieniułkim noskiem – kij, kijem... Tu ogień, śmierć, a on z „*siostrami*” (wy-bacz Boże, słowo nie na miejscu), urzęda balangi... Poszli tacy w bój. Daj takiemu, rządzić narodem. A takimi zapchane są wszystkie sztaby, wszystkie pułki. Cy-gara, pierścienie na paluszkach, siostry, poduszki... Tfu! – co to za wojacy! Zaczę-li ze wsi brać wozy – „*na rozkaz*”. Wie-śniacy nazywają to stójką. Zabiorą wóz do sztabu, postawią na dobę, i deszcz, nie deszcz, śnieg nie śnieg, stój, czekaj, póki jakiś chłystek z siostrą, nie zechce przeje-chać się na hulankę. A spróbuj powiedzieć słowo... Gęba twoja spuchnie, bo takie to zapalne towarzystwo, niczym proch. Ner-wy... Wszystko nerwowe. Bezsenne noce,

z babami. Perfumy, które chyba pili, niczym wodę. Siostry wykradały ze szpitali spirytus i przepijały, przeklęte larwy. Tak się dzieje na całym zapleczu frontu. A tam na froncie, tysiące tysięcy, umiera. Krew leje się, gdzie nie spojrzysz. I to widzi dziadźko i każde dziecko. „*Paniczyki*” – to słowo stało się przekleństwem.

– Ech, mówi Matwiej – różnie bywało, chociaż mówią, że „*Iwana nie będzie pana*”, ale ja myślę, że z każdego Iwana byłby lepszy pan, jak te chłystki... Nie mają w sobie żywej krwi. Ich skóra nigdy nie przepuszczała potu, a pot, zniszczył w ich wnętrzu, człowieka. Pracą, wygania się szkodliwy pot, z człowieka. Oho! Matwiej nawet doszedł do tego. I jak nie działać. Chyba, że człowiek to drzewo, czy niemowa, zwierzę. Chyba, że by mu oczy nie patrzyły tak na świat, jak mądre mu stworzeniu, które widzi białe i czarne, dobro i zło? Ot, tyle życia przeszło, ciężko. Poranne śniegi, runęły z nieba. Marszowe pułki idą, jak ćma za ćmą, bez początku i końca. Do chałupy Matwieja, dziesiątki ludzi przyjdą i nie wrócą. Siedem dusz swoich, dziesięć obcych... Siadają, tak siedząc, śpią. Nie ma czym oddychać. Żeby choć nie truli, pałac machorkę.

Wieczorem, płytę rozpała, wrzątek na herbatę gotują, żłopia kacapy po dwadzieścia szklanek herbaty. Cukru wystarcza. Wołodźka, posyłają po bułki. Sam Matwiej, w kąś się wcisnie, gdzieś na piecu. Tam, prawdziwa łaźnia. Za dymem tytoniowym, niczego nie widać. Nastii, koło płyty, jest duszno. Jej płuca nie znoszą dymu. Kaszel, wyrywa wszystkie wewnętrzności. Moskale proszą: kup Matuszka pałatkę. Tanio. Dasz pięćdziesiątkę i bierz. – E, Moskalu, my już tych pałatek nakupili tyle, że nie wiemy, gdzie je chować. – Trzydzieści kopiejek, daj i bierz... Wszystko jedno, na froncie wyrzucę... – Toż mówię, że już nie mam gdzie trzymać!

Ot, patrzcie! U nas wszystko już z pałatek. I porcięta łobuzom z pałatek porobiłam. I starego pałatkami ubrałam i sama od nóg do głowy, w pałatkach. – Ech, gdzieniegdzie i w karty, można zagrać... Chachły, nie potrafią żyć. Bogaci, a durni.

– Czemu ojciec taką izbę zbudował? Czy za mało lasu? – śpiewnym głosem pyta Jarosławiec.

– My, dopiero w tysiąc dziewięćset trzynastym roku, tu się sprowadziliśmy – jakby usprawiedliwia się, proszącym tonem, Matwiej, z najwyższej wysokości chatynki, jakby zza chmur. Nie można było, wszystkiego naraz. Spłacać bank, wielkie długi mieli, procenty spłacali. Myśleli, że to wszystko tymczasowe, a tu wybuchła wojna. Ja już stary. Sam ze wszystkim, nie poradzę. Młodzi, wszyscy na froncie, a z babami nie robota.

– Wiadomo, kończy ten z Saratowa. Ach, ta wojna! Jaki czort, chce się wojną zajmować? A nam teraz nigdzie, nijak się ruszyć. Ot, życie, jakby straciło się rozum. Po co matka rodziła, by na takie życie skazać? Takiego czegoś, nie oczekiwała.

– Ech, Wołyń przeklęty, niech cię grom uderzy – dodaje Riazzańczyk. U nas, babska chachłandia, nie kraj, co za nieporozumienie. Na jakiego czorta, to bronić? Riazzań, jest daleko. Niech go Niemiec bierze... Piją herbatę. Przed każdym, woreczek cukru. Zakąszają bułeczkami. Do herbaty, kroją jabłka. Ubarwiają Matwieja chatynkę wspomnieniami ze swoich kątów rodzinnych, a na końcu, chachłandią. Sprzecząją się. Każdy chce mieć swoje, na wierzchu.

Matwieja, męczy żar z pieca, dym gryzie w oczy. Nawet na podłodze, mało miejsca. Jego biaława postać, ciemnieje. Kości za dnia dosyć się natrudziły, a nie ma gdzie rozłożyć je, dla odpoczynku. Na podłodze, w kącie, siwawy wojak rozbudził się, rozłożył worek z rzeczami,

wyjmuje słoninę i zajada. Matwiej przysiadła się do niego i jakby prosząc, wyjaśnia mu, czemu ma taką małą chatę. – Mówiąc prosto, inaczej nie było można. On już buduje się na trzecim miejscu. Wojak dojadł spory kawał słoniny i tak sobie zaczął: – Tee – przeciągając. – Widać, ty z Połtawy. Pokazuje palcem na tego z Rjazania. – Ej, ty tam, białorzęsy – czemu tak się rozklekotałeś? Jakiego czorta drzesz gębę swoją, z rzadkimi wąsami? Wołyn przeklinasz, chachłandię wywyższasz? A spójrz!... Szkoda, czort bierz, jeśli padniesz tutaj, swoimi krzywymi łapami...

– Starszego ot, rugasz! Ale, gdy tak powiedziec, wziąć prawdę za czuba, i tobie jednemu z drugim, przed oczyma postawić, to wyjdzie na to, że ty jeden z drugim, tyle przeżyłeś, poznałeś, co tutaj zobaczyłeś! Nie, nie gniewaj się! Czy ty siebie kiedyś widziałeś? Chwyć w szerołąk dłoń worek cukru i potrzasań ją nad jego głową. Nie widziałeś u siebie niczego! Herbatą bez cukru się zalewałaś i żarłeś lurę! Tak! Tak! Nie protestuj! Spokojnie. Złość mnie bierze, że wy sukinsyny wleziecie w cudzą chatę i udajecie jakichś panów... A w domu, jak kurnik, siedzicie przy łuczywie, wszy wyluskujecie, boki wylegując na workach. Zajść tobie w jakąkolwiek połać ziemi rizańskiej, Michajłówka, Wszyłowka, czy jakaś Rozplijewka, co w lasach się zagubiła. Izba stoi. Wlazł i nie wiesz, gdzie. Czad, brud. Świnia, ryłem, mądrości opowiada. Dali namioty. Dwupiętrowa taka fanaberia, na dwadzieścia dusz, jak w więzieniu. Idą spać i ojciec nakazuje synowi – ty tutaj, Miszka tam, całą noc. Cicho i nie mylić się, bo matka w łapciach śpi... – Widzę, że się nadymasz, bo prawda w oczy kole...

Połtawiec wpada w złość, rękami macha i wali pięściami w dym. Powietrze przypomina ocean na mapie. Kacapy protestują, ale Połtawiec, mocno trzyma w

rękach, ster swojej mowy. Kacapskie słowa, z chrapaniem i przyświstem nosa, docierają... – Tak ty – mówi, widziałeś kiedyś jabłko? Czy, próbowałeś kiedyś, bułkę? – Czy wiesz, gdzie ona rośnie i z czego ją się robi? Ty nawet nie wiesz, z jakiego boku ją jeść, więc od razu zacząłeś od dołu. U was, nawet nie umieją, jeść łyżkami, a wkładają do ust łopateczkami.

Rjazaniec, nareszcie nie wytrzymuje. – Ty kłamco, sukinsynu. Ot, jak zdiele ciebie w ten twój pysk! – Hi, hi, tylko podejdz! Jak cię maznę w twoją spluwaczkę! – A to widziałeś? – rozsunał Połtawiec poły kurtki, a tam Grzegorz i medale. To zrobiło wrażenie na Rjazancu. Zamilkł. – Tak, tak mówi Połtawiec. Lepiej zamknij swoją gębę i milcz. – A to: – po jakiego czorta ja wojuję? A czemu bronię, chachłandii? Tfu! Grom jasny, niech w ciebie strzeli. Wzywaliśmy tutaj ciebie? Prosilili? To idź sobie do czarnej matki, do swojej Kacapii i nie psuj tutaj powietrza. A ja? Za co my walczyliśmy? A za co nasz brat krew przelewa? Za Wołyn? Nie, bracie. Za mazureckie bagna, za Warszawę, za Karpaty. Ty oto sukinsynu, na pewno po okolicach przeszedłeś się, a ja trzeci raz idę na front, pięć ran i medale za waleczność dostałem. Ech, wy, wy. Sochami ziemię drapiecie. Drewnianą broną uprawiacie, a nosa zadzierasz. Chamy jesteście, ot, co. A tu na dziadka napadłeś, że w chacie ci jeszcze pokoi nie wystawił, abyś chociaż raz w życiu, na czystym położył. Drań jesteś, a morda twoja ośła. Połtawiec zdenerwował się tak, że zdawało się, że sam się zerwie i zacznie bić wszystkich kacapów. Policzki mu poczerwieniały, oczy rozbłyły, słowa wylatywały z ust, niczym uderzenia siekiery.

Do sprawy, wmieszał się wąsaty Besarabiec. Słuchał i słuchał. Wreszcie się odezwał: – Sza, dzieci! Niech was do stu biesów! Jakiego diabła rozdrażniliście? Zo-

staw! – Nie, ja jemu pokażę, co! – Ależ, zostaw, Kowalenko! Starczy ci, z jaką różnicą, na rożnie się spierać? A ty Łaptiow, też osłem takim się nie wydajesz, jakiego matka twoja, kobyła, durnia urodziła. Milczeć! Połtawiec zamilkł i siadł na swoje miejsce. Rjazaniec, pije dwudziestą szklankę herbaty. Bezrabieć, aby usunąć przykry nastrój, rozpoczyna „bratanie”. E, w ogóle, to wojna, zjada naszego brata. Kowalenko, czy Łaptiow, czort, diabeł, wszystko jednak, w błoto wciska – zakończył Besarabiec.

– Zacząłem ja, bracia, z samych by tak rzec, Karpat, gdy naszego brata, posłali w pierwsze boje, przeciwko Austriakom. Nie była to wojna, lecz ceremonialny marsz, parada. U naszych stóp, kładły się Halicz, Lwów, Przemyśl. Zarzucili uzdeczkę na Karpaty i biorą Wiedeń. Sławę ruskiego oręża, nieśli na ostrzach bagnatów, a te pieśni – czy znacie? Trzęśli czortem po całej okolicy, bywało, jak hukniemy, czy to garb, czy kamień, diabeł twoją duszę dawno pokrył lodem – wszystko jedno, płonie twoje wnętrze i ogień oczyma, czy buklakiem, wytryśnie. W tysiąc dziewięćset piętnastym roku, na Nowy Rok, byliśmy w Karpatach, w górach, po których tylko wiemy na miotłach fruwały... Stali w lesie, jak niedźwiedzie, pokryte lodem. Byłem takim sobie chłopcem, jak on (pokazał na Wasyla). Buzie rumiane, wąs się zasiewał. Płonałem uczuciami do kobiety, podobnej do sławy światowej Eugenii Piotrowny, matrony sławnego miasta Kiszyniowa. Zerwała mnie, jak różowy kwiatek, a ja czurban, czurbanem, lałem łyż wierszami wyznań, kwiczałem i myślałem, czy się powiesić, bo zgubiłem urok niewinności. Tak trzeba rzec, krew moja i dusza i wszystko, czego chcecie, było na miejscu, w porządku. A serce, niby nowy zegarek, w czystym pokrowcu z waty, czuło

się miękko i uderzało do wszystkich, łącznie z Eugenią Piotrowną, takimi dźwiękami, że jeszcze teraz je słyszę. Ale, dwa lata minęły i rzuciłem Piotrownę. Gdyby jeszcze, ot, tak, człowiek żył, pole orał, żonę bił, z Żydami się kłócił, dwa lata, tfu, niuch tabaki. Ale u nas...

U nas, bracia, dwa lata, podziemnego błogosławieństwa, gdy nad tobą, przed tobą i za tobą, jęczy śmierć, znaczy, że ty z perkalowego junaka zostajesz ot, takim niedźwiedziem, jak jeź. Wąsy tobie rogiem się pokryją, łeb stwardnieje, zwłaszcza oczy, patrzysz, nie patrzysz, ni myśli, ni strachu, ni sumienia, w nich, bo wszystko tam surową masą się stało i zlało, jak w tępych spluwaku. I wtedy wiesz jedno – ginę ja, niech wszystko zginie i plwam na wszystko, choćby ono, nie wiadomo jakim światem, się nazywało. Przypominam sobie Nowy Rok w Karpatach, gdy nasz batalion pełnił połowę Służbę Bożą w lesie, w Galicji. Zrobiliśmy wysoką, na dwie ściany woskową świecę, niczym kolumnę, naładowali ją zapalkami, podpaliłi kadzielnicą i skierowali w niebo. Część z nas poparzył słup ognia, a my, mimo tego, staliśmy i słuchaliśmy uderzeń serca Pana Naszego i Bożego Słowa, które wiatr niósł do naszych uszu. Staliśmy jak słupy, w szeregach, z papachami, kłapami, sinymi nosami, na mrozie. Ech, jaki z nas naród wtedy był! I ja tam stałem i czułem, jak moje pagony rosły, stawały się skrzydłami i jak mnie unosiły wysoko, na wierzchołki Karpat, ponad wszystko. Czułem, jak w moją duszę, zmierzła i zmarznięta, wstępuje światło, wiara i siła. A gdy krzyż, znalazł się w naszej bliskości, runęliśmy wszyscy w śnieg kolanami i wielokrotnie, rannymi głowami, upadali i się modlili. A tu znienacka, bach, trach, tarach! Jak zawiąło, ruszyło smrekami, jakby jakaś siła posunęła zmarzniętą górę. Raz, za razem, trzy dębczaki się zatrzęsły

i zadzwoniły, jakby sukinsyna, siłą. My wszyscy, w tym i ja, i batuszka z krzyżem, i cały starszy personel, jak liście, przypadliśmy do ziemi i duszami wpiliśmy się do Jej piersi.

– Zdorawa! Przerwał któryś słuchacz. – Dwadzieścia trupów zostawili na polu. Ścisnęło czerepy! Ech! ...i opowiadacz, zamachał palcami lewej dłoni. A ranni, ot tak, i pełzali, po własnej krwi... Niektórzy wołali – dobijcie, bracia! Jaki czort, dobijając zacznie, choćbyś kiszki włócił za sobą! I tak, człowiek błaga, bez odzewu. A czy czort, czy Bóg, silniejszy na tej ziemi? – Tak? – Czy tak? I tu, człowiek dotyka tego nerwu, na jakim wisi, cała ludzka menażeria. Ot, dokąd pójdziesz, czego nie dotkniesz, nie weźmiesz, wszędzie ręka twoja, dotknie sadzy z piekielnego kotła. I człowiek stanie się czarny, jak te czeluście piekielnego pieca, wypalonego ogniem. I serce jego stwardnieje i nerwy jego uczuć, znikną. Dlatego i ja mówię.

– Nie wytrzymamy, bracia... Powstaniemy jeden, przeciw drugiemu, będziemy jak psy, rzucali się i gryźli gardła, jeden drugiego. Nie ma u nas tej, ustalonej hierarchii wartości – Bóg, czort, kobiecea uroda, czy zgniła postać zabitego człowieka – wszystko wychodzi na jedno. Coś takiego, jak śmierć, z czarnym łbem, kręci ziemią i niebem, a nasze głowy zakręca się i pewnego dnia, wszyscy krzyknemy – dosyć! Padniemy wszyscy na ziemię i z nami padną nasze karabiny i nasze zasługi... Po-depczemy naszymi butami wszystko to, przed czym kiedyś wołali – hura!, co nieśli w głowach i na herbach, co się osadzało w sercach, ciepłym, mądrym słowem i co prowadziło nas na śmierć. Tak. Zobaczycie! To stanie się na pewno, bo cały nasz lud, milion milionów, utracił chęć, aby dalej ciągnąć sznur, tego bydlęcego żywota...

Bezrabieć skończył. W chacie uci-chno. Bagnety żołnierzy sterczały, jak

omdlałe. Potem wszyscy ruszyli się, zaczęli coś pomrukiwać, łowili się nawzajem wzrokiem: – No, jak ty... Co powiesz? – I skąd wziął się tutaj, taki mądry? – pomyślał Wołodźko, który nie słuchał, tylko całym sobą chłonał słowa żołnierza. – Ej, bracia! Krzyczał któryś z podwórza... – Tutaj! Połowa mężczyzn wstała i chmury pary wcisnęły się w czarną powalę drzwi. Na dworze, mróz. Wielki księżyc, wleciał na przestrzeń niebios i zatrzymał się. Za lasem, za podlesiem, gdzie huczało jezioro ugarskie, buczało, wyło, klekotało, zdawało się, że mróz i księżycowe żarna, trzeszczą w lesie i tną zmarzłą ziemię i kamienne góry, i samo sklepienie nieba, które od czasu do czasu, wyglądało, niczym śmiertelnie chory człowiek, oświetlony trzeszczącym strumieniem czerwonego światła. Kulomioty jednym ciągiem, jakby liczyły. Głosy armat, przypominały starego dziada, którego napadł straszny atak koklusz, który posiniał, zachłystnął się i już nie jest w stanie powstrzymać szalonego wybuchu. Z jakiejś głęбини pod lasem, niby z przyduszonych poduszkami ust, wyrwało się głucho: Uraaa... uraaa... ura... aaa. Żołnierze, zbili się, powyciągali szyje. Między nimi, bezwłosi młodzieńcy, ci perkalowi junacy. Wszyscy nasłuchują, jakby mowy zachodu, jaki zdawało się, idzie tutaj, jakimiś tajemniczymi, podziemnymi krokami. – Już zaczynają – zauważył któryś. – Tak. A jutro i my spróbujemy, niemieckiego pieprzu... – My, bracie, już się go nawachaliśmy, aż w nosie kręci – dodał, ten sam Połtawiec. – Pójdziemy spać – obojętnie zakończył i poszedł do chaty. Za nim, poszła reszta. Tylko jeden młodzik, dalej stał i wsłuchiwał się w mowę wojny. Żadni żołnierze „z powrotem” nie wracali.

Szlakiem powrotnym, gnali czasem tylko kozacy, wziętych do niewoli. Idą, zarośnięci, kościści, po grząskiej drodze,

w trzewikach, z owijaczami. Ogląda się ich, z wytrzeszczonymi oczyma, tacy oni dziwni, obcy, widać, że nie nasi. – Chleba – proszą i wyciągają poźółkłe ręce. W dłoniach, trzymają metalowe grajcary. Na czorta, one. – Schowaj! – Na kęs chleba. A, Węgier? – Nie dostaniesz, gdyś Węgier. A jak gonili, ze sztabu do sztabu, dezertorów. To inny naród. Wzgardzony. Wskrobki wielkiego imperium. Przyprawdzali takich do sztabu, kładli, jeden kozak siadał mu na kark, drugi na dłoń, trzeci okładał jego plecy nahajką, dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt, czy więcej razy, zależnie od tego, jak zasłużył.

A kozaków w Żołobach, pełno. Dorosli, prości, z czubem, na dwadzieścia pięć. Dziewczyny, zerkają na takich z ciekawością. Niejedna, nosiła pod sercem, syna kozaka. Krew wołyńskich lasów i naddońskich stepów, zlewała się w płomień miłości i serce uderzało, pałały oczy, nogi same niosły do tańca, pod kozacką harmoszkę. W te dni, Wołodźko przeżył wielki zryw, który w jego duszy zostawił niezapomniany ślad i kładł się rumieńcem na twarzy. Wszystko to się z czasem wypaliło i rozwiało, jak popiół. Nie zamazała się tylko treść, i został ślad, jaki zostawia każde przeżycie. Wiosna, lato, jesień, zima, krążą wokół człowieka, który stoi w środku wszystkiego, a treść przeżyć zostaje w nim, i tworzy powietrze człowieka, jego klimat.

Stół bez nóg, po stokroć niech będzie przeklęty, kupa książek, które jego ręce zgarnęły, spod żołnierskiej podeszwy, narobiły hałasu. Wrócił niby, ktoś do dworu.

Mówią, znalazł ktoś puste pokoje ze ścianami, na których same ściany, wskazywały ślady przeszłości. Po wsi, zaczęły się poszukiwania, przepytywanie. Doszło i do chutoru Matwieja, bo Ziuka Kuszczina, przysięgając na Święty Chrzest i na własne oczy, (niech powyłażą, jak to

nieprawda) widziała, jak Nastia,niosła bardzo ładny stół. I Ziuka pomyślała, że taki ładny, to pewnie z dworu. A niech to czort! Podetknęła spódnicę wyżej kolan i poszła szybko do dworu. Spóźniła się, bo nie znalazła stołu dla siebie. – No, czekaj, pomyślała, ja tego stołu, Nastii przeklętej, nie podaruję. No i poszła, gdzie trzeba, i wszystko opowiedziała. Nastii nikt się nie czepiał, ale Matwiej, także dostał wezwanie, tego to, a tego dnia, stawić się w sztabie korpusu Żołobki. W sztabie sąd i rozprawa, ma się odbyć. Mogą skazać (wszystko, na złość, ciotka Ziuka wszystkim opowiedziała), na dwadzieścia pięć kijów, w pewne miejsce, jako zapłatę za ubytek. Matwiej, trochę to lekceważył, ale gdy kozacy mu powiedzieli, jak i czym może się to skończyć, poczuł, że sprawa może być poważniejsza, niż sądził. – Isć tam i spuszczać spodnie, w takim wieku? Dla niego, siwego już, to trochę za dużo. Nic, nigdy, nikomu nie zabrał, nawet cudzej słomy, nawet w myślach. Nawet jednego ziarna, nie było w jego życiu, które by mogło wypuścić, korzeń nieczystości. Jego droga, wyścielona cierniami, była przebyta, tylko na własnych nogach, i jego ślady, czasami krzywe, wryte na tej drodze, były zapisane jego krwią. I oto, po tym wezwaniu, Matwiej zważył sam w siebie. Wziął papier do ręki, obejrzał go i oczy mu dziwnie zgasły. Popatrzył na Wołodźka, na żonę i znowu zapalily mu się ognie w oczach, jak kiedyś, w dni Lebedszczyzny. Krew się w nim zburzyła i zakipiała. Oto oni! To oni, ci winni! Widzi, jak siedzą przed jego oczyma i kłapią swoimi durnymi językami. – Skocz na nich, jak zwierz, i stratuj! Zniszcz, razem z hańbą i wstydem! Nie! Matwiej tego nie zrobi. On już nie ten, co był kiedyś. Ręka jego może i mocna, ale wola pękła i wyraźnie ustąpiła. Wstał milcząc, trzasnął drzwiami i poszedł do szopy.

Przez maleńką szparkę w zamrażniętej szybie okna, Wołodźko widzi postać ojca. Nieprzykryta łysina, z pasemkami długich, rzadkich włosów, które powiewają na porywistym, północnym wietrze. Plecy, wyraźnie zgarbione, jak wygięte restry pod dużym ciężarem. Zdaje się, że on niesie dziesięciopudowy wór pszenicy. Nawet zdaje się, że jego nogi się ślizgają. – Ojcze! – krzyczy dusza Wołodźka. Ojcze! I czuje, jakby jakimś ostrym, dokuczliwym hakiem, rwie go coś, co siedzi w jego piersiach, jakby jakieś ziarna, których nie zmieliła wojna, ani żołnierze... A słów nie ma. Lecz także nie ma. W piersiach, niby zamarzła rzeka, łamie swoją powierzchnię i spina, jedną z drugą, ostrokanciaste płaszczyzny. Wołodźko przeżuwał chleb i gdy ojciec wyszedł, jego usta przestały pracować, kąsek chleba zastąpił w zębach, a reszta, co była w rękach, legła na skraju stołu i leży. Wszystkie zakamarki jego duszy, napelnią gorzki dym spaleniźny, gryzący sumienie, jak kwas gryzie żelazo.

A czas biegnie. Przyszedł obiad. Na stole, zjawia się misa tłustej kapusty, ze słoniłą. Nikt nie dotyka stołu, ani misek, na nim. Para z kapusty, jak mała chmura podnosi się i jakby uroczyście, rozkłada na boki. Rozpoczęli, Wasyl z Katarzyną, jakby nie czuli w sobie grzechu, a może, grzesznie cieszyli się, swoją obecnością. – Idź, zawołaj tatę, odezwał się Wasyl do Wołodźka. Wołodźko, tylko się przechylił. On spał i jego oczy spały. A przechyliwszy się, coś narzucił na plecy i poszedł do szopy.

Walnął i odchylił ciężkie, na drewnianych biegunach, połowy drzwi. Cicho tu, nikogo nie ma.

– Tato! – Nieśmiało zawołał. Nikt nie odpowiedział. Wszystko milczy, taką surową, upartą ciszą. – Tato!

W pobliżu, coś się poruszyło. Schylona postać, kilka słomek na czuprynie.

Syn, nigdy nie widział bliższego widoku i nic w świecie nie przejmowało go bardziej ostro i boleśnie, jak ten obraz, schyłonej, bielejącej postaci, z tymi niewinnymi słómkami na czuprynie.

– Nu, czego ty chcesz? – pada pytanie ojca. Wołodźko spogląda w jego oczy jasnym, ciepłym spojrzeniem. Ojciec spojrział także i wzrok ich się spotkał. I jak dziwnie. Tego nigdy Wołodźko nie mógł zrozumieć. I dlaczego z jego oczu, popłynęły te łzy? Dziwne, jeszcze raz, dziwne. Czyżby on, tak z niczego, bez powodu, płakał przed ojcem? Tak ni-jak, bez powodu? A oto popatrzył i puścił łzy, a potem ruszył do ojca, podniósł jego rękę i głosem wzruszonym, prosił – Oj, tato, tato!

– Ja nie wiedziałem... Łka, polykając litery, kropki, urywki słów, razem ze słonymi łzami, jakie ciekną z jego oczu. – Wy... ja... Tato... Ja sam pójde do sztabu. Ja... Ja... Ja ...opowiem. Niech mnie i biją... Jej Bogu, tato pójde... Ojciec nawet się nie poruszył. Stoi, trochę pochyłony i lewa ręka, podniesiona nieco, w kierunku syna. Po czym, harmonia zmarszczek przebiegła po jego twarzy, a dwa centymetry brwi, jakby im zawtórowały. Oczy jego takie wielkie i mimo wszystkiego, takie dobre, wyjrzały z tej jakiejś głębi. Wołodźko wie, że pod tymi brwiami, za tymi zmarszczkami i woreczkami popielatej barwy, chowają się ojcowskie lustra, w jakich świat i on sam, Wołodźko, odbijał się, w prawdziwej wielkości natury istnienia, bez jednej struny fałszywych barw, czy tonów.

Na ten czas, jak raz, ktoś dojechał. Przez szpary w drzwiach, widać dwóch jeźdźców na szpakowatych, spoconych koniach. Jeden podjechał pod okno i znajomymi słowami, zawołał:

– Gospodarzu! Ojcze! – czy jesteście w domu?!... Ojciec wyszedł z kłuni.

– Witajcie, ojciec! My znowu, do ciebie! ...odezwał się jasnowąsy furazer. – Słomę masz? Dostaniesz dobrą cenę. – Słomę? Nie. Nie mam... odpowiedział Matwiej. Wiatr sypie ze strychu drobny śnieg, jaki czepia się odkrytej głowy Matwieja. Wołodźko to zauważył, wytarł łzy, wskoczył do chaty i przyniósł ojcu wełnianą czapkę. – Ty się ojciec, nie upieraj. Wszystko wiemy – masz słomę. Nie kłam. Pora ci ją nam wydać, jak dziewczce wieniec... Dwa ruble za pud, dostaniesz. Potrzebne dwadzieścia pudów... – No – odezwał się Matwiej. – Dwa ruble to teraz nie pieniądze, ale swoją słomę wam pokażę. Jak chcecie. I poprowadził furazera pod stertę. To była kupa przemokłej sieczi, którą rozciągnęli kiedyś żołnierze, i jaką potem pozbierał. Słoma stęchła i zmarzła. Furazer wyjął szablę i pchnął nią kilka razy, w kupę słomy. Potem wyciągnął klingę szabli i popatrzył... – Niczego. Bierzemy! – powiedział. Od samego rana, jeździmy i nigdzie nie ma słomy. – Jak chcecie... – odezwał się Matwiej. Jeźdźcy odjechali, informując, że jutro przyjadą po słomę.

– Oto patrzcie – powiedział ojciec Wołodźkowi i Wasylowi, który akurat wyszedł z chaty. – A mnie, inni, radzili wszystko zniszczyć. Mnie robią wszyscy durnym... – Chodź tato do chaty, jeść. – Chodźcie, bo kapusta stygnie – dodał Wasyl. Jadł Wasyl, milcząc i mało. Pojadł i znowu wyszedł na dwór. Wołodźko, sunął za ojcem, jakby pilnował każdego jego kroku.

Trzeciego, krytycznego dnia, Matwiej wybrał się do sztabu. Rankiem zerwał się wiatr i prószyło śniegiem. W sztabie, trzeba być na dziewiątą. Ale zegara nie ma, słońce także nie świeci, dlatego rano zastał Matwieja i Wołodźka, który razem z ojcem nie spał całą noc, na nogach. Ach, co to była za noc! Wołodźko,

widział nie raz, jak nahaj oficera znajdował się nad głową żołnierza. Widział, jak wojak stał sztywno, nie śmiał się zasłaniać i tylko oczy i usta jego wskazywały, że w tym człowieku jest dusza i wszystko to, co daje wyraz bólowi. I na miejscu takiego wojaka, Wołodźko wyobrażał sobie ojca. I jeszcze gorzej. Tam kładą, zdejmują spodnie. ...Uuu! Chłopiec ścisnął zęby, odwracał głowę i z jego ust, wyrwały się, jakby garściami, dźwięki. Nie, nie! Wołodźko pójdzie, wpadnie, wszystko opowie... Gdzie są ci panowie? Gdzie, do czorta, oni są? Może by oni nie ciągnęli jego ojca, który nigdy nie był na pańskim dworze, który nawet nie wie, jak wyglądają te pokoje.

Pański dwór, jest aż za wsią i za doliwą. Czego by tam ojciec chodził. To tylko jego, Wołodźka, poniosła tam nieczysta siła, aby sprawić rodzinie niewyobrażalną biedę.

Ranek. Ojciec czemuś zagadał, że nie jest taki sprawny, jak w minione dni. Mówił o wszelakich sprawach gospodarskich, aby wszystko było w porządku, na wypadek, gdyby go zatrzymali, czy co... Ale to chyba nie z powodu Wołodźka. Matka, jakby nabrała wody. Piecze placki kartoflane i ma mokre oczy. Ojciec, kilka zjadł. – No, lepiej już pójde – mówi. Lepiej przyjść wcześniej, aniżeli się spóźnić. I ubiera się. Wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa. Wołodźko, także narzucił swoje znane palteczko, które z wielkiego, zrobiło się małe i z nowego, zanadto stare. Łatki poprzyczepiały się do niego, gdzie tylko mogły i barwy ich, to sama bezbarwność i nieokreśloność...

Kto wie, dokąd wybiera się Wołodźko, jaka jego sprawa i gdzie on zmierza. Wyszedł rankiem, podczas zamieci, przez śnieżycę, ciągnąc za głębokimi śladami pozostawionymi przez ojca, prosto w kierunku lasu w okolicach Żołobów. Wiatr

dmie w plecy. Z przodu, ledwo widoczna, ojca postać. Ślady jego, od razu zamiata wiatr, chociaż Wołodźko stąpa szeroko, aby trafić butami w ślady ojca. Czy ojciec zauważył swego następcę? Kto to wie? On się nie oglądał. Szedł cały czas dalej, przez pola. Wiatr napierał mu na plecy, do jego nóg wplątywał poły długiego, wojskowego kozucha.

Aha. On się odwrócił i obejrzał. Widać, że syna zauważył, bo przystanął. Wołodźko, także się zatrzymał. „*Aa-o-y-e...*” Widać, że woła. Wiatr rwie na szmateczki słowa i rozsypuje, gdzie mu się chce. Jeszcze i jeszcze, krzyczy ojciec, ale syn, choć go nawet zbij, nie rozumie ani jednego półsłowa. I oto ojciec macha ręką, odwraca się i brnie dalej. Wołodźko, niczym cień, wlecze się za nim. Matwiej jeszcze raz obejrzał się i wraca. – Uciekać? Stać? Póki co, chłopiec stoi i myśli: – Wracaj! Ale dokąd?

Wiatr, ostro szarpie i prze do przodu. Zdaje się, że gdyby się puścił i leął na śniegowej płachcie, – poniósłby się z wichrem, jak dębowy liść, prosto na czarna ścianę lasu.

– Wróć się, ty smarkaczu! Dokąd ty poleciesz? Marsz mi do domu! – Słyszysz? ...Rozkazuję!.. Chłopiec brał ten rozkaz, jak ostatnie coś, co jedyne, chyba poruszy nim – przeciwko wiatru, przeciwko zamieci, i przeciwko własnemu sumieniu – do domu. Matwiej poszedł dalej. Syn jego stoi w miejscu i patrzy za nim. Fi-yfiii-iii! – ostro i chyżo, uczeplił się wiatr jakiejś suchej byliny i poświstuje bezzębnyimi ustami. Tuż mającą siwe postaci. Z daleka, ani nóg, ani kół, nie widać. Zdaje się, jakby coś nad ziemią, pełzło naprzeciwko wiatru. Coś widać, bardzo uparte. Potem widać, że to wozy. Na nich... Któż ma być na nich? To są wozy jakiegos „ziemskiego obozu”, który płącze się tutaj codziennie i pod marznący-

mi brezentami, ciąga to tu, to tam, jakieś baraki. Ludzie powłazili w kozuchy i wolonki, w syberyjskie czapki, że i grom ich nie ruszy. Konie, jakoś ciągną te woziska, które przypominają średniowieczne mazy. Wierzchołki kół, pokryte bagniskiem i zmarniętym śniegiem.

Przepuścić przed sobą ziemian. Dalej, z lasu, wypadli kozacy. Do czorta, w taką porę jeździć konno! Nosy im pomarzęły, konie borykają się z wichrem. Czy widzieli oni Wołodźka, który stanął czegoś z boku i trzęsie się z zimna? Kto tam ich wie. Czy ich teraz interesuje jakiś Wołodźko.? Każdy, ma coś swojego, na głowie. A Wołodźko, postoi jeszcze trochę, póki ojciec nie zniknie z widoku i zawróci. Co mu jeszcze pozostało? Nie upadnie przecież w śnieg i nie pozwoli się przykryć przez zamieć, póki serce jego, czysto i mocno bije, w dzwoniących piersiach, które nigdy, nigdy nie odmawiały miejsca i przestrzeni, temu wrażliwemu kawałeczkiowi mięsa.

Matwiej już znikł. Została tylko siwa kurtyna, rozpostarta od nieba do ziemi, okrążona czarnym rąbkiem lasu. I tam gdzieś, po tamtej stronie, został ojciec Wołodźka. Chłopiec zawrócił... Ale, tak tragicznie nie było, jak by się wydawało. W sztabie, mają swoich spraw „*do matki czorta*”. Kto tam, zwłaszcza o jakichś babskich sprawach czy bebeczach, będzie sobie suszył głowę. Był, prawda, jakiś w okularach, które same do nosa się wczepiły, pytał i upominał Matwieja, by nie brał się, „*za nie swoje*”, sprawy. Natomiast stary, delikatnie, uważnie i dokładnie wyjaśnił, że oto żona i mały poleżli gdzieś, a on sam „*Bogu ducha winien*” i niech będzie jakiś sąd, to on na chrzest przysięgnie, że nigdy w życiu, nie wziął dla siebie, choćby cudzej słomki. Ten w okularach, długo go nie pytał. Czemuś się rozzłościł i łajał dyżurnego.

– Wojna, a on czort wie, z czym przychodzi. Idź stary do domu i siedź na piecu! Ot i wszystko. Wrócił Matwiej i wszystko, słowo w słowo, opowiedział. Wołodźko i oczyma i ustami i uszami, tyka słowa i z każdym dźwiękiem, z duszy jego spada wielki ciężar. Ale mimo to, nie wszystek znikł, a został gdzieś tam, niczym resztki jakiegoś osadu...

W tym samym czasie, za wsią, na tyławieckich, baszkowieckich i ugorskich polach, kopią okopy. Dzień, w dzień, chodzą do nich wiejskie dziewczyny i chłopcy-podrostki. Chodzi i Katarzyna. Deszcz, śnieg, mróz, zamieć – wszystko jedno. Wojna przecież nie stoi, czy deszcz, czy zamieć. Chłopcom, powyżej piętnastego roku życia, płacą rubla, wszystkim dziewczynom, pięćdziesiąt kopiejek.

Budują drogi. Rąbią młody las i żerdziami wyścielają podłoże. Rąbią chrust, wiążą wiązki, ścielą po drodze i przysypują ziemią. Pracy wiele, a zapłata marna.

Umarła wtedy Marta – siostra Gnidki. Młoda, jasnooka dziewczyna. Wołodźko poszedł na pogrzeb. Poszła, popracowała przy okopach i dostała jakiejś choroby, pokaszlała dwa tygodnie, pochyliła i odeszła. Miała osiemnaście lat. Akurat wtedy, pociągnęli Gnidkę – białobiletczyka. A Wołodźko? Chyba tylko on sam, nie pracował dla wojny. Przed Bożym Narodzeniem, zamiecie śnieżne ustały i zaczęła się odwilż. Kapryśny, ostry zachód, runął dzikimi, ciepłymi wichrami. Zniknęły z okien lodowe malowidła, pośpiesznie odtajała ziemia, droga się pokrzywiła, pogięła, i ciężkie konie artyleryjskie, z trudem mieszały zmarzlinę.

Przyszedł surowy rozkaz: wszyscy do pracy! Pogonili z każdej chaty, po dwoje, po troje. Katarzyna, nie wychodzi z okopów. Wasyl legł, dusi go kaszel, w pierśiach piekło, głowa ociężała. Widocznie się przeziębił. Zabrali Wołodźka. Poszedł

do państwowego lasu i dzień po dniu, tnie chrust na drogę. Zapłata – rubel. Wieczorem, ciągnie się siedem wiorst, do domu. Przychodzi, i nawet nie chce się rozbierać, ale nie ma gdzie się położyć. Wszędzie, pełno Moskali, z marszowych oddziałów. W pierwszy dzień Bożego Narodzenia, ludzie zachcieli świętować. Nie weszli do pracy. Dowództwo saperów, z rozkazu starosty, posłało do wsi dwóch jeźdźców. Ci, w błocie od pięt do oczu, przelecieli przez wieś, jak huragan, kogo spotkali, nahajami bili, gdzie popadnie. Gdy wpadli do chaty, zastali ludzi przy obiedzie, wywracali do góry nogami, stoły, miski, garnki, co im w ręce popadło, a kogo spotkali w chacie, gonili z łopatą w rękę, do pracy. Dostało się nawet choremu Wasylowi, bo u Matwieja wtedy, niko go w domu nie było. Rozsierdzony saper, nachylił się nad chorym Wasylem i kilka razy zdzielił go nahajem.

Wołodźko, po pracy w lesie, chodził „do okopów”. Po odwilży, znowu chwyciły mrozy. Goła ziemia skostniała i tylko gdzieniegdzie, widać było łąty śniegu. Ranek. Wszyscy wstają ze świtem. Matka gotuje kipiącą herbatę, Katarzyna, Wasyl i Wołodźko, jedzą. W domu ojciec, matka i dzieci. Na polach, kopią wielkie, głębokie jamy, na ich bokach i spodzie, kładą drewno, przysypują ziemią. Kopią całe kompleksy okopów, z przejściami, schronami, gniazdami broni maszynowej, i umocnieniami.

Na wiosnę, jak widać, spodziewają się natarcia. Po całym zapleczu frontu, idzie, albo pełźnie, praca. Kopią doły, obwałowują je drewnem, zasypuje je śnieg, śnieg roztaja i doły zalewa woda, a obwałowanie rozpada się. Trzeba je od nowa obwałowywać i umacniać. Często, całą linię okopów trzeba było rozbierać i kopać, oraz obwałowywać na nowo. Czemu tak i po co, tyle trudu na darmo, Wołodźko,

nie mógł wiedzieć. Nikt inny, też tego nie mógł wiedzieć. Po to, byli tam w górze, inżynierowie? Ale w mądrość tych inżynierów nie wierzył nikt, nawet taki chłopczyzna, jak Wołodźko. Tyle ludzi, tyle pracy, ciężkiej, nierozumnej. Tyle pieniędzy. Niczego nie robiono dokładnie, porządnie. Narzędzi pracy, jakich nawieziono całe góry, nikt nie szanuje. Wszędzie, pełno walających się, pordezwiątych narzędzi, łopat, kilofów i innego sprzętu i rozciąga je, kto chce i gdzie chce. Nadzorujący saperzy, od najniższego do najwyższego stopniem, patrzyli na to wszystko „z napluwawialnego punktu widzenia”. Po umocnieniach, palą się ogniska i tam hulają z panienkami Bykowowie, Rykowowie, Kolumbajewowie. Twarze ich pełne, wypasione, czerwone. Odziani, w szaro stalowe szynele, obuci w walonki, w papachach, spod których sterczy tylko nos, pod którym bez przerwy dymi tytoniowy papieros. Niektóre dziewczki, załatwiają sobie wiele „dni”. Innym, za to, brakuje. Wołodźko, w swoim palteczku i buciakach, aż nadto ostro odczuwa chłód. Na to nie zwraca uwagi, niejaki Bykow, i rzuca go „w barani róg”. Tylko takimi Wołodźkami postępowała praca, na ile starczało im sił. Odciski na chłopięcych rękach, duchowe rozgoryczenie, złość i niesprawiedliwość. Z Wołodźką, setki innych chłopczyków, podobnych do wykopanych, brył ziemi. Wszyscy oni uderzają kilofami, oskardami, w zmarzłą ziemię. Odpryski siekają w oczy. Wiatr mknie polami, smali oblicza, które płoną ostrą barwą. Czerwone, burzliwe słońce, powoli chyli się, zapada za lasem baszkowieckim. W sobotę, w chacie Trofima Paciuka koło cerkwi, „rozliczenie” za cały miesiąc. Niska, przestrzenna izba. W przednim kącie, pod dwoma rzędami obrazów, długi stół. Za stołem, sztabkapitan Smirnow. Czerwona, wypielęgnowana twarz. Czub na

jeża, wypukłe szare oczy, na nich okulary. Bródka wypielęgnowana. Przed Smirnowem skrzynka nowiutkich, nieużywanych banknotów: dwudziestopięciorublowki, dziesięcio-, pięcio-, trzy-, i jednorublowki. Obok Smirnowa sekretarz, z trzema liczydłami. Przed nim lista, z wyliczeniami.

Od stołu, do progu, kolejka, ramię w ramię, ludzi. Dziewczyny, starsi mężczyźni, młodzi chłopcy. Twarze ich barwy ceglastej, włosy rozwichrzone, oczy wpatrzone w swoje miejsca mocno i zdecydowanie. Kolejka urywa się pod drzwiami, które co jakiś czas, stukają. Za drzwiami znowu kolejka, a tam morze ludzkich głów. Wszyscy przyszli „po należność” za swoje „dni”. Każdy dobrze liczył te dni, wyrzył je gorącymi myślami w mózgu. Jest między nimi troje, z rodziny Matwieja – Katarzyna, Wasyl i Wołodźko. Jego kolejka, na szczęście, nie daleko. Litera D w tym pomaga. Oto on już dostał się za próg chaty. Wywołują: – Gorpina Gudz! – Jest. Ile dni? – Dwadzieścia...

– Oho, myśli Wołodźko... – Ot, kłamie. Ona nie ma więcej, jak osiem dni. Z tego, więcej z Bykowem, po schronach, pałętała się. Cyk, cyk! na liczydło i nowiutka dziesięciorublowka była w rękach Gorpiny.

– O, święty Chrystusie, ta Gorpina ma szczęście. Kapitanowi zamiatała podłogę, to dziwne... – szepczą inne dziewczyny. – Czy tylko kapitan? – A z tym... jak mu..., tym rudym Rykom, czy jak go...?

– Zofia Gładziuk! – wywołują dalej. – Jest! Ile dni? No, dwadzieścia... Cok, cok. Gorczyzna dostała drobnymi. Ona nie ma nawet czasu liczyć. Wypychają ją szybko na bok, bo tam jeszcze czekają setki.

Zadowolona, że dostała, wybiega na dwór, przed oknem pod światłem, liczy. – Mateńko Boża! I Święty Chrystusie, oni mi nie dodali rubla! Niech grom mnie strzeli, jeśli nie tak. Płacz, wstrzą-

sa dziewczyną. Ale dokąd biec, komu się skarżyć? Tam siedzi ten kapitan, ale jak do niego się dostać? On nawet przerwał wyplatę, bo dyżurny przyniósł herbatę, i szklanki, i podstawki. Postawił szklankę, herbatę przez błyszczące siteczko przecedził. Herbata błyszczy, jak ogień. A kapitan, siorbie po trochę ze szklanki i przekąsa małeńkimi, suchymi ciasteczkami.

Wołodźko, nie jadł niczego od południa, ale patrząc na błyszczącą herbatę i na ciasteczka, nie czuje głodu. Jego uwagę przyciąga co innego. Kapitan i jego srebrne pagony i błyszczące guziki z orłami, i herbata z cedziłeczkami i sucharkami i te góry groszy... To nie jest coś, z tego świata pracy. To jest coś innego. To coś nieosiągalne nam wszystkim, którzy stoimy tu w wielkiej kolejce, aby „otrzymać” te pięć, dziesięć, piętnaście, według zasługi, – rubli. I ludzie koło niego, niczym drobiny. Wszyscy „wasz, bierz, masz” i uderzają obcasami. Cok, cok, cok. Rubel, dwa, pięć, dziesięć, sto, tysiące... Toż tam tysiące, o Boże, tysiące! I kapitan patrzy na nie wypukłymi oczyma, obojętnie, to z tej, to z tamtej skrzynki, bierze paperek i daje Gorpinie, Zofii, Kalinie, Hannie. Komu, ile chce, jak chce, co chce. – Boże, jaki ja jestem małeńki, naprzeciwko tego kapitana – myśli Wołodźko. Jedno jego słowo i mnie nie ma. Nareszcie: Dowbienko Władimir! – Jest! Wykrzyknął Wołodźko i wzdrygnął się. Trzęsie się, jakby napadła go drżączka. Stoi w kolejce, ciśnie do przodu, w ręce zmięta czapka. – Ile dni? – Dwadzieścia. On dobrze pamięta. Dwadzieścia. – Ty ot, zaczyna kapitan, podparłszy lewą ręką, ostrą bródkę. – Już duży. Ile masz lat? – Ja urodzony w tysiąc takim i takim roku, mądrze odpowiedział chłopiec. Tak. Znaczy, że nie jesteście mały. Kto ciebie tak nauczył brać? – i wlepił w chłopca ostre, surowe oczy. Wołodźko do bólu się mieszał. Brać? Cóż on

bierze? I jego oczom się coś takiego stało, jakby sterczały niepotrzebnie, wstydliwie, w głowie.

– Tak! Podnosi głos kapitan. Ty kłamiesz, jak żyd. Od razu widać, że będziesz złodziejem. – Masz, bierz i marsz stąd! Jak Wołodźko brał te pieniądze i jak zrobił „marsz stąd”, o tym mogą opowiedzieć ci, co za nim stali. Sam on jakoś tego nie pamiętał. Wie, że wybiegł na dwór. Pamięta, że w ciemnej sieni zaczepił się kieszenią o klamkę u drzwi i poczuł, jak rozerwał swoje palteczko. – „Czort jego bierz” – pomyślał. – Niech się wydziera. Już jest nowy szynel i sam ojciec obiecał mu odwieźć go do Szumska i przerobić. I są oto pieniądze. Liczy je jeden raz, drugi. Nie ma co długo liczyć. Ot, pięć rubli w jednym banknocie i cztery banknoty po rublu. Razem dziewięć. Rubla ukradli, a gdyby nie ukradli, miałyby dziesięć. Dziesięć rubli, to już jakiś pieniądz. No, ale ma tylko dziewięć. A tak zżył się z myślą, że ma dziesięć rubli... Ho... Podparł nos pięścią i „...a co tu powiedzieć ojcu? Jeszcze pomyśli, że on wziął sobie rubla...” – Kto tam jeszcze się dobija?

Dobijał się Choma Ot Ten. Oprócz wszystkiego, jeszcze mu przekręcili nazwisko. Napisali Ot ten. Jaki on jest, Ot ten. Oten? Skoro go jakaś tam durna baba po ulicznemu tak nazywa, to nie znaczy, że i w „papierach” tak trzeba zapisać... – Moje nazwisko, Ot Ten, Bondarec. Tak, wasza wysokość. Tak jest, prawidłowo. Mój, ot mały nie słyszy, jest niemy, a ktoś za niego podpowiedział i wyszło Oten. Ja jestem jego prawnym ojcem i przyszedłem, za niego pobrać pieniądze. Bo, co to, z niemym? Gdzie go pchniesz, on pójdzie, a on nachodził dwadzieścia dni po pół rubla (to mało, czujecie wasza wielmożność, po pięćdziesiąt kopiejek takiemu chłopcu. Bardzo mało). 10 rubli, ...to mam otrzymać. Choma jeszcze

do tego „*ettoje*” nie lubił dodawać rodowych nazwisk. Smirnow popatrzył na takiego wymownego człowieka, zdjął okulary, wytarł, znowu nałożył. Potem odliczył pieniądze i milcząc, podał Chomie. Ten chciał od razu je przeliczyć.

– Won, won, starcze! Won! Poszedł – mówią ci! Tam policzysz, w domu na piecu! Odpychają Chomę, ale on się opiera i liczy. – Eeee! – krzyknął pod drzwiami. – To jest, oszustwo! Mój mały chodził do tych okopów ... Wasza wysokość! Tu wszystkiego osiem rubli. Tyle naliczyłem. Tyle... – Dokąd się pchasz?! Wydziera się na niego żołdat. Ale Bondarec na to nie zważa. Wasza wysokość – krzyczy on – tu jest pomyłka. Mój mały jest niemy. Jego...

– Kto tam szumi? – nagle wstał i ostro krzyknął Smirnow, a jego oczy jeszcze bardziej się wybałuszyły, jakby je kto od środka wypchał. – Wezwać go! Bondarca pchnęli w plecy i on zatrzymał się przed samym wysokością.

– Tyyy, dlaczego ty kłamiesz?! – wydarł się Smirnow tak, że aż dolna warga podała mu się do przodu. Tłum ludzi zaniemówił z wrażenia. – Ty postanowiłeś rozrabiać? – Buntować? Tak? Odpowiadaj! Chcesz buntować? – Warta! – Brać go! – Ja – bez lęku, lecz śmiało, a nawet rezolutnie, rozpoczął Choma... – Ja, tylko wasza wysokość, chcę prawdy. U mnie oto został tylko ten jeden, niemy. Mój starszy syn, zginął pod Warszawą, a średni, służy w kawalerii, jako kowal. Mam więc prawo zabrać głos i upomnieć się za swego niemego syna...

– Milczeee! – wrzasnął od razu Smirnow. On, jakby ulepiony z prochu, a tu jakiś parszywiec Bondarec podkłada mu minę. I oczy i brwi i bródka – wszystko tańczy po jego twarzy. Pięścią uderza raz, drugi w stół tak, że kilka banknotów nagle podskoczyło i poleciało w ciemny dół, pod stołem. – Ty co, żołnierzu? Brać go!

My go jutro, takiego syna, nawrócimy na wiarę prawosławną! Złapali Chomę, niczym gorący węglak i zabrali... – To moja krew! – krzyczał on. – To jest, jak widzę, niesprawiedliwość! Tu nawet swego słowa nie można powiedzieć! – Ale twarda, saperska pięść, stuknęła Chomę prosto w zęby i on zajęknął się w połowie słowa. Mówią, że krew, tak polala mu się po szpakowatych wąsach i brodzie, że je po prostu przebarwiła.

A Smirnow, nie mógł dalej wypłacać. Kto mógł wypłacać, po takim zdenerwowaniu? Ludzie masowo ruszyli do domów. – I trzeba mu było, za jakiegoś rubla, robić awanturę! – denerwował się ktoś... – A ja, się nie zgadzam z tym – zaprzeczył ktoś drugi. – Tu przede wszystkim, chodzi o sprawiedliwość. Czyż to sukinsynem, nie jest sam ten kapitan?... – To przecież, wiadomo. Oni, chyba wszyscy są tacy? Jeździłem do sztabu, na służbę. Stoję, marzną ja, marźnie chudoba, a on, taka jego mać, wyzwierza się na mnie, że ja, patrz, z domu nie wzięłem kilimu. A może ja, w domu, tego kilimu, nie mam? A jakby zwyczajnie, na wiązce siadł? Co, jemu by odleciała?... Tak, tak... To się nazywa, wojna. Jeden na froncie siedzi, w zamrzniętym bagnie, a drugi, patrz, na wiązce słomy nie siądzie... Bo, patrz... – To są, tfu!... Porządki... Co, wiecie, mówią o tym kapitanie, to tylko wstyd i hańba, powtórzyć. Mieszka oto w szkole. Do niego zjeżdżają wszyscy, ci ważniejsi. Pozawieszają, jak mówią, okna czerwonym płótnem. Na stole pełno butelek, „*Boże cara*” wrzeszczą. Przecież, to mówiła, sama ta Gorpina. Mówi, rozpili, rozwłóczyli, wszystko. Tfu, niech to trafi, Boża siła. Ona, patrzcie, niczego sobie, a do czego to doszło!

Wołodźko, wraca do domu i słucha, co opowiadają. Sam patrzył i widział, że za szkołą porozrzucanych sporo puszek po

dobrych rybach, owocach, i innych smakołykach, z różnymi napisami. Gorpina opowiadała, że przywożą tam wino całymi skrzynkami. – Czort bierz, tego rubla – chodzi mu po głowie myśl. Dobrze, że przynajmniej to dostał. A rubla, on w domu ma, dołoży i wszystko odda ojcu, na przeszydzie munduru.

Tam, gdzie kończy się wieś i zaczyna chutory, spotyka Wołodźko „marszowe oddziały”. Dzisiaj, przyciągnęły widoczne – nie-widoczne. Zalały całą wieś, niczym powódź, krzyczą, przeklinają. Wszystko, młodzi kacapi, którzy mówią, chrapiąc przez nos, urywając słowa. Dobrze, odziani. Nowe szynele, do pięt, wełniane, siwe czapki, dobre buty, z długimi cholewami. Mówią, że będzie atak. Aha. To dlatego, ciągną. Wołodźko idzie wzdłuż szeregów wojaków i zdaje się, że nie będzie im końca. Idą i idą, depcząc drogę. Wszyscy czworkami, uzbrojeni. Brzęczą metalowe przedmioty.

W domu, zastał ich pełno. Wszedł do chaty i zdało się, jakby trafił do gęstego zagajnika, z żywych drzew. Na ławie, na piecu, na przyzbie, wszędzie, gdzie jest jakieś miejsce, góry plecaków, taśmy z nabojami, mokre szynele, maski gazowe, łopatki, siekierki. Pod płytą już się pali, a na płycie dwa duże garnki wody. Pod kominem, pełno kociołków i w każdym wiadać, coś z prowiantu.

– Aha. Ot, ot. Patrzcie, chłopiec się pojawił!.. Świetnie! Chłopiec pójdzie nam po bułki! – rozniosło się wśród żołnierzy. – Chcesz, chłopcze, pobiec po bułki? Tak? – Tak! – kiwnął głową Wołodźko. – Chłopaki! – Krzyknął jeden z żołnierzy. Chłopiec, idzie po bułki. – Po ile bułki? – Czort wie. Chyba po dziesięć. – Mnie, dwie. Mnie, trzy. – Nam z Griszką, pięć.

– No, nie pchajcie się tak, jak szarańcza! Po kolei! Mitka! Podaj moją torbę. To ta... No, nie rzucaj na głowę! Ot, su-

kin syn, matka twoja, wiedźma, ach, ruski człowiek, nijak nie trzyma porządku! – Pietrucha! Nie płacz się tutaj, tam jest ser, a ty, swoim tyłkiem, się tutaj pchasz!.. – Ej, szczeniaki! Nie płaczcie się! Ot, chłopczyk czeka! – wstał i krzyknął, starszy żołnierz.

Wyrwawszy się na wolną przestrzeń, z plikiem marek w ręce, Wołodźko znowu, ciągnie na wieś. Ma, dziwne uczucie. Zdaje mu się, jakby wieś się zmieniła, czy znikła. Niesamowicie wielka ilość ludzi, przemieniła ją w jakieś ludzkie mrowisko. Wszystko, jest w ciągłym ruchu. Dym nad dachami unosi się, podwórza huczą, dudnią, droga, nie zważając na przymrozek, wydeptana do tego, że śnieg roztajał i rzadkie błotko ścieka do rowu. Tu i tam, bez przerwy, snują się ludzie. Swojska mowa, jakby znikła. Zalała ją cudza, donośna, gardłowa. Chmury kruków, niczym barany, lecą gładziutkim niebem, tłocząc się wokół młodego księcia. Gdzieś tam, migoczą gwiazdy.

Koło byłej szkoły, długa kolejka po bułki, dochodzi aż do drogi. Do niej, przyklejają się wciąż nowe i nowe kółka. Ale Wołodźko, nie jest durniem. On zna ścieżki do sklepu i wkrótce, z workiem bułek, wraca do domu. A tam na stole, herbata. Paruje, jakby oddycha. Z oblicz żołnierzy, ścieka pot. Rozebrali bułki i zaczęła się wyzerka. Wołodźko zarobił pół rubla, ale to nie za bardzo go cieszyło. Nie ma gdzie usiąść, a on cały dzień, marzył na dworze. Przy herbacie, rozmowy i kłótnia. Zdarzył się starszy wojak, który obsługiwał dowództwo. Ktoś nagle zastukał w okno. – Gospodarzu! Gospodarzu! – Wyjdźcie, ojcze!..Matwiej rozpoznał głos „długowąsego furazera”. Narzucił kozuch i wyszedł na dwór. – To wy, ojciec? – Ja. A o co chodzi? – Matwiej widzi, że furazer, nie sam. Z nim, jeszcze jeden, konny artylerzysta. – Przyjmij nas, dziad-

ku, na nocleg! – No, wzrusza Matwiej ramionami. – U mnie już pełna chata. Nie ma nawet gdzie usiąść... Nie przejmuj się, ojciec, my zjeździliśmy całą wieś... Tam, jeszcze gorzej, niż u ciebie. Ludzie śpią w sieniach. ...Co robić? Zaprowadził konie do stodoły, a ludzi wcisnął do chaty. Wojak dalej opowiada. – U nich, do diabelskiego syna, wszystko jakoś nie tak. Tam, na przykład, czy oficer, czy szeregowy wojak – jednakowo. Dyscyplina jest, ale nie taka, jak nasza. U nas szeregowiec, to błoto, bagno, spluwaczka, a oficer, to car, bóg, coś wyższego. Szeregowca, możesz butem po gębie – to nic, a oficer serwetką podciera tyłek. Dwa razy, byłem w niewoli, dwa razy, uciekłem. Trzy rany dostałem. Teraz pójde i poświadczę. ...Sam pójde do niewoli. Dosyć, wojowałem, dosyć, krew przelewałem, dosyć, cara, ot, tego, niewidzialnego cara, bagnetem i pierśią broniłem. To robota Rasputina, opu-chlizną na ciele Rosji, wychodzi. Caryca hula na dworze, a ty bij się, po Karpatach przedzieraj. Ot i potwory narobią kłopotu... Nu, ty! Ty żółtodziobie! – Czego? – wytrzeszczył oczy młody kacapczuk. – Wiesz ty, dokąd idziesz? – Wiadomo. Na front. – Dureń. – Na śmierć. Na zagładę. Jutro z ciebie, durnego osła, zostaną tylko paznokcie. Wyrzną was jutro, podczas ataku. Sto tysięcy, wyginie. Z Petersburga, z Władywostoku, z Berdyczowa, ze stepów Samarkandy, wszystkich durni wyrzuca na pobojowisko, jako mięso armatnie, na hańbę, jakiej świat nie widział. I to już, wydaje się, że dosyć! Paryż, Karpaty, Bałkany, Alpy, Mandżuria – wszędzie my, tam wszędzie nasz brat, żołnierz, padał trupem, przebywając na swoich nogach, tysiące kilometrów. A kiedy koniec? Pytam: kiedy koniec? W grobie!..

I nagle, w tym samym momencie, gdy wszyscy skupieni słuchali mówcy, rozległ się straszny wybuch. Chata się zatrzę-

śła. Wszyscy umilkli. Lampa zgasała i nastąpiła gęsta, ciężka ciemność. Nastia dziko krzyknęła i omal nie umarła. Mała Wasylina, która spała na podłodze, przebudziła się i zaczęła płakać. Co za sukiny syn, ba-luje? – krzyczy w ciemności, gruby głos. Błysnęła zapalniczka benzynowa i oświeciła chmurkę dymu, która powoli rozplywała się, nad głowami żołnierzy. Niektórzy z nich, pobledli jak papier. Okazało się, że „białowąsy furażer” oburzył się na mowę żołnierza i wystrzałem z rewolweru, ją przerwał.

– Ty twoja mać, taka, owaka! – zwrócił się do przedmówcy! – Buntownik? – Chcesz buntować? – Wiesz, co za takie gadanie grozi? Nie widzisz, tu są dzieci... – A ty, kim jesteś? – śmiało, twardo i wyraźnie, pyta przedmówca. – Zupczyk? Zaplecze? Tylna linia? Frontu, ty sukiny-synu nie widziałeś. Pluję na twoje groźby! Mnie wszystko jedno, choćby dzisiaj, czy jutro, dostać kulę w łeb! Pluję, na to całe życie żołnierskie! Widzę, że twoja gęba taka wypasiona, choć pomyje na nią wylewać!... – Wyrąbał i cisza. I co? Nic. Cisza, jakby wszyscy skamienieli. Furażer wyraźnie się zaperzył, napięty jak tygrys, gotowy schwytać zbuntowanego piechura za gardło, ale wtedy, jak na komendę, stanęło między nimi, kilku żołnierzy. – Nie! Nie będziemy, bracia, drzeć kotów. Schwyta-li obydwo i posadzili wśród masy żołnierzy, jednego blisko progu, drugiego na ławie, przy stole. Zapanowała napięta cisza. Z daleka, dobiegły jakieś urywki przekleństw.

Matwiej i rodzina, siedzieli na podłodze, koło pieca. Wszyscy zaciekawieni. Zwłaszcza Matwiej. Nastia, już chciała ruszyć, aby uspokajać. Wasyl, Wołodźko i Chwedot z wyrazem niepewności, przestachu, ciekawości, ale i lekkiego zadowolenia, kładli się spać. Nieśli słomę, i gdzie kto mógł, układał głowę. Wołodź-



Rzeka Tyława w Tyławce

Fot. Wikimedia Commons

ko, czuł wielkie zmęczenie, ale przeżycia dnia, były tak przejmujące, że w jego głowie jeszcze przez jakiś czas, pojawiały się myśli i obrazy, z urywkami rozmów i widokami twarzy. Pierwszy raz, usłyszał kilka nieznanych słów. Pierwszy raz, widział ogień w oczach żołnierza, który pokazał prostymi i pewnymi słowami to, co kryło się w głębokich pokładach psychiki, mas żołnierskich. I jak, uczynił to, przekonywująco! Jakiego oczy! Jakiego zmarszczki w kącikach ust i jak napięta pięść! To, czort wie...

Sen, wypłata, Smirnow. Znowu nowiutkie banknoty. Czarna przestrzeń i nieskończoność żołnierskich twarzy, w papachach, z plecakami. Ostrzał. Jeszcze raz, chłopiec się wzdrygnął, płuca pociągnęły strumień gęstego, ciężkiego powietrza i piersi jego poczęły równo i miarowo się kołysać, niby spokojne morze, po cichną-

cej burzy.

Ulas Samczuk

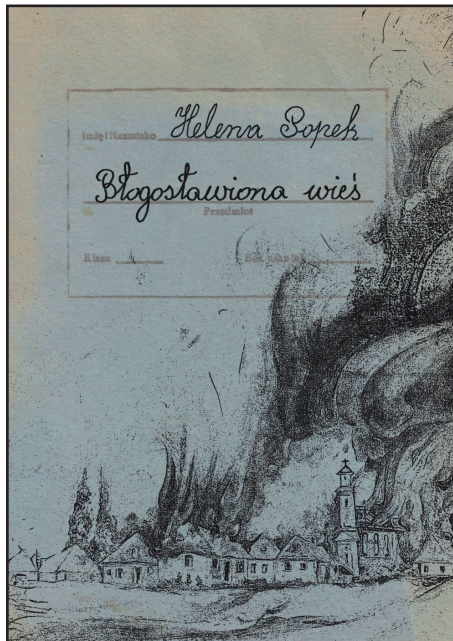
*Tłumaczenie z języka ukraińskiego
Alfons Soczyński, Alf*

Przygotowujemy do druku t. II eposu Ułasa Samczuka „Wołyń”. Proponujemy uwadze naszych P.T. Czytelników tłumaczenie IV rozdziału pióra Alfonsa Soczyńskiego „Alfa”.



Wśród książek - Серед книжок

«BŁOGOSŁAWIONA WIEŚ» PAMIĘTNIK MATKI



Na Wołyniu w latach 1943-1945 doszło, jak wiadomo, do zbrodni ludobójstwa, która swoją brutalnością i bestialstwem przerażała nawet ówczesnych nazistowskich Niemców. Toteż na jej oznaczenie przyjmuje się określenie «*Genocidium atrox*», czyli ludobójstwo okrutne, dzikie, straszne, bezduszne. Zbrodnie, których dopuścili się wtedy na Polakach nacjonałiści ukraińscy, można porównywać tylko do krwawych rzezi z czasów powstania Bohdana Chmielnickiego w 1648 r. czy też hajdamackiej kuliwyszczyny z 1768 r., wymierzonej w polską szlachtę. Dokładnie zaplanowana i sprawnie wykonana eksterminacja ludności pol-

skiej pozostaje w środowisku żyjących Kresowian, ocalonych z rzezi wołyńskiej jej świadków wciąż żywymi bolesnym tematem. Oprawcy z Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) są bowiem na Ukrainie traktowani i czczeni jak narodowi bohaterowie.

Dawne Kresy II Rzeczypospolitej stanowią przed II wojną światową mozaikę narodowościową. Wszystkie występujące tam nacje: Czesi, Niemcy, Polacy, Ukraińcy, Żydzi żyły jednak ze sobą we względnej symbiozie, współpracy i zgodzie. Przywódcy ukraińskich nacjonalistów spod znaku Tryzub, rozczarowani po 1941 r. niespełnionym sojuszem z Niemcami, postanowili pokonać i unicestwić „*zaborców i obcych*” stojących na przeszkodzie do stworzenia niepodległego państwa ukraińskiego według wzorców radykalnie nacjonalistycznych. Ówczesna sytuacja społeczno-polityczna na Wołyniu niechybnie sprzyjała tym zamiarom. Polska partyzantka była tam nieliczna i słabo uzbrojona, natomiast Niemcy rzadko kiedy opuszczali swoje umocnione garnizony, ulokowane w miasteczkach i większych wsiach. Całkowita zatem zagłada ludności żydowskiej w latach 1941-1942, dokonana bezkarnie i brutalnie przez Niemców we współpracy z ukraińską policją w znacznym stopniu pozwoliła takim radykałom, jak Dmytro Kliaczkiwsi (Kłym Szawur) czy Roman Szuchewycz (Taras Czuprynka) na realizację zbrodniczych planów.

Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN, powstała w 1929 r.) i jej zbrojne ramię, czyli UPA, już na począt-

ku lutego 1943 r. rozpoczęły na dużą skalę akcję „czyszczenia” Wołynia z jego polskich mieszkańców, stanowiących tam około 16 procent populacji. Liderzy UPA, planując czystkę etniczną, uznali, że jest ona konieczna, aby znieawidzone przez nich państwo polskieraz na zawsze wyrzekło się roszczeń do terenów Wołynia i Małopolski Wschodniej. Sotnie UPA z całą brutalnością rozpoczęły więc bezwzględne napady na polskie wioski, chutory i dwory. Polaków mordowano barbarzyńskimi metodami przy użyciu siekier, noży, pił, drewnianych kołków, maczug, wideł, motyk, młotów, topienie w studni lub palenie żywcem. Nie oszczędzano nikogo. W sadystyczny sposób zabijano nawet kobiety w ciąży, niemowlęta, dzieci, młodzież oraz starców. Ukraińcy mordercy chcieli, aby wieści o ich okrucieństwie rozniosły się szeroko po całym Wołyniu i „zachęciły” Lachów do jak najszybszej ucieczki za Bug. W tych krwawych wyprawach upowców, w podpaleniach, dobijaniu rannych, rabunku mienia i inwentarza, często przeciwko najbliższym polskim sąsiadom, brali udział okoliczni chłopci, tzw. czerń, ukraińskie wyrostki, a nawet kobiety i dzieci. Agresorzy, stosując „taktkę spalonej ziemi”, unicestwiali całe wsie, niszczyli infrastrukturę wiejską i budynki użyteczności publicznej, takie jak: punkty pocztowe, siedziby władz gminnych, szkoły, kościoły, plebanie, dwory, zabudowania gospodarcze, wycinali nawet drzewa owocowe i drzewostany parkowe.

Publikacji odawnych Kresach II Rzeczypospolitej i zbrodni wołyńsko-galicyskiej, zwłaszcza opracowań o treści sentymentalno-nostalgicznej oraz wspomnieniowej, mamy już dosyć dużo w dorobku polskiej historiografii. Na szczególną uwagę zasługują wszelako wspomnienia Heleny Popek z domu Szwed, zatytu-

lowane jakże wymownie «*Błogosławiona wieś*». Autorka w ten metaforyczny sposób określa swoją wołyńską kolebkę, Wołę Ostrowiecką, gdzie w 1921 r. przyszła na świat i którą uznała za miejsce wyjątkowe, szczęśliwe, niebywale urokliwe, kochane, wprost wymarzone do spokojnego, niemal sielskiego życia. Wspomnienia ukazują ich autorkę jako młodą dziewczynę, której tragiczne wydarzenia z czasów II wojny światowej, a zwłaszcza ukraińskie zbrodnie na Wołyniu, jakich 30 sierpnia 1943 r. doznały sąsiadujące ze sobą wsie Ostrówki i Wola Ostrowiecka, nie pozwoliły na realizację życiowych planów. Zginęli wtedy jej najbliżsi: ojciec Jan oraz siostra Zofia Lewczuk z mężem i dziećmi. «*Piękna wieś przestała istnieć. Nic nie pozostało, jeno tylko cisza grobowa, wielka żaloba. [...] To wszystko widzę i słyszę i nigdy nie zapomnę*» – wspominała (s. 299).

Po okrutnych zbrodniach UPA i po ucieczce na początku września 1943 r. z Wołynia, wraz z pozostałą przy życiu, ocalałą z rzezi rodziną, Helena kilka lat tułała się po nadbużańskich miejscowościach, pracując między innymi w gospodarstwie bogatego rolnika w Dobryłównie, gmina Dorohusk. Dopiero po wyjściu za mąż za Mieczysława Popka – Wołyniaka, który też cudem uratował się z rzezi we wsi Gaj, gdzie 30 sierpnia 1943 r. upowcy zamordowali około 600 Polaków, osiadła z mężem na gospodarstwie (10 ha) w Karolinie. Pomimo znów bolesnej traumy po stracie w 1959 r. tragicznie zmarłego synka Antosia, potem siostry Marianny oraz męża Mieczysława zachowała pogodę ducha, zamiłowanie do porządku, podziw dla otaczającej ją przyrody oraz wielką nostalgię za utraconym bezpowrotnie Wołyniem. Pomimo że ukończyła tylko pięć klas szkoły powszechnej w Woli Ostrowieckiej, to przez całe życie wyka-

zywała niezwykle zamiłowanie do książek, które chętnie kupowała i wieczorami czytała przy lampie naftowej, wielką miłość do Kościoła i Ojczyzny, a zwłaszcza do rodzinnej ziemi wołyńskiej. Te wszystkie wartości przekazała swemu drugiemu synowi, Leonowi, któremu także zaszczepiła zamiłowanie do lektury książek i poznawania przeszłości ukochanych Kresów. To dzięki Jej uporowi mógł On ukończyć liceum w Chełmie, a potem studiować historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Po latach syn Autorki, doktor historii Leon Popek, od 1992 r. prezes Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej w Lublinie, w 2020 r. z wielką estymą, starannością i naukowym profesjonalizmem przygotował do druku, zachowując oryginalny język i pisownię, wspomnienia swojej nieżyjącej już Mamy (zmarła w 2012 r. w Lublinie). Doktor Popek dumą podkreśla, że zamiłowanie do poznawania dziejów Wołynia, jego uroków, a zwłaszcza do dokumentowania popełnionego tam ludobójstwa wyssał z mlekiem swojej Kochanej Matki. Z przekonaniem zaznaczył: *«Miałem to szczęście, że była moją Matką i tak wiele się od Niej nauczyłem, usłyszałem, rozmawiałem. Dziś wiem, że o wiele za mało...»* (s. 20). W innym miejscu napisał: *«Mamo, dziękuję Ci, że mnie urodziłaś, wychowałaś, wykształciłaś! Wybacz, że tak nieudolnie i po latach, gdy już Ciebie nie ma od ośmiu lat, wydaję Twoje „Wspomnienia”. Nie mam już z kim dyskutować, uzgadniać, kogo pytać... Twoje Pokolenie odeszło i jest już na polach i łąkach „Błogosławionej Wsi” u Pana»* (s. 24). We «Wstępie», zatytułowanym „Moja Mama”, dokonał wnikliwej i rzeczowej analizy Jej wspomnień, przypomniał historię swoich przodków i przedstawił zarys dziejów Ostrówek oraz Woli Ostrowieckiej (s.

7-84). Stanisława Niebrzegowska-Bartmińska natomiast zamieściła w książce ciekawą rozprawę pt. *„«Błogosławiona» znaczy «szczęśliwa». Obraz wołyńskiej wsi jako miejsca utraconego w relacjach wspomnieniowych Heleny Popek»* (s. 85-108).

Wspomnienia Heleny Popek na tle literatury kresowej stanowią zjawisko zaiste nowe. Autorka, oprócz własnej, wprost wyjątkowej pamięci, sięgnęła też do relacji innych osób, do pieśni religijnych i patriotycznych, wierszy, zachowanych listów i tradycji ustnej. Wykazała się przy tym zadziwiającymi zdolnościami w dostrzeganiu wpływu przemian społeczno-politycznych na życie poszczególnych ludzi. Jej pamiętnik charakteryzuje się rzetelnością narracji, precyzją i faktograficzną dokładnością, nawet w drobnych detalach, wierną prezentacją tradycji, wierzeń, zwyczajów, obrzędów, wydarzeń i losów mieszkańców, krajobrazów, strojów wiejskich, całego folkloru kresowego i uroków wołyńskiej wsi. W wielu miejscach narracje Heleny Popek przypominają niemalże barwne opisy wsi Lipce z powieści Władysława Reymonta *«Chłopi»*, którą dobrze znała. Zresztą pamiętnik Heleny Popek zaczyna się od rozdziału zatytułowanego *„Cztery pory roku”* i podobnie jak w Reymontowskiej powieści został także napisany według kalendarza agrarnego, z uwzględnieniem pór roku, związanych z nimi prac polowych oraz specyficznych dla każdej pory wydarzeń z życia mieszkańców wsi.

Gromadzona latami przez Autorkę i Jej syna, Leona Popka, z wielkim trudem, wprost z pietyzmem i wytrwałością, niezwykle bogata oraz różnorodna ikonografia w zasadniczy sposób dopełniła i wzbogaciła omawianą publikację. Prezentowane fotografie stanowią nie tylko rozliczne sagi rodzinne, ale są jednym z ważniej-

szych nośników pamięci narodowej. Czytelnik z pewnością potwierdzi, że wszystkie osobiste dokumenty, wykazy, zestawienia, mapy, plany, rysunki oraz wręcz cudem uratowane z kataklizmu dziejowego liczne zdjęcia tworzą niezwykle klimat, promieniującą niedzisiejszą aurą i przedziwnym światłem. Nie pozwalają zapomnieć o ludziach, których już dawno nie ma, i o zdarzeniach z ich niełatwego, zakończono-tragicznie życia. Dzięki determinacji redaktora książki, jego bogatemu prywatnemu archiwum, także niezwyklej pamięci oraz głębokiej wiedzy udało się zidentyfikować, z podaniem imienia i nazwiska, dat życia, koligacji rodzinnych czy pokrewieństwa, niemal wszystkich ludzi występujących na zamieszczonych obiektach ikonograficznych.

Publikacja Heleny Popek *«Błogosławiona wieś»* została przygotowana do druku w sposób profesjonalny, z dużym wyczuciem i znajomością tematu. To książka doskonała pod bodaj każdym względem: faktograficznym, warsztatowym i – co należy podkreślić – edytorskim. Dzięki uzupełniającym obszernym przypisom nie trzeba niczego doszukiwać, gdyż aparat krytyczny, jakim redaktor dzieła, dr Leon Popek, opatrzył tekst, jest wyczerpujący.

Helena Popek, za namową syna Leona, zaczęła spisywać swoje wspomnienia dopiero na przełomie 1980/1981 r., w wieku już sześćdziesięciu lat. Na przestrzeni kilkunastu lat, posługując się długopisem, wypełniła nimi, czytelnym i starannym pismem, siedem zeszytów szkolnych w kratkę (zob. fragment s. 360). Osobny, szósty zeszyt wspomnień pt. „*Dobry Pasterz*” z 1992 r. poświęciła w całości ks. kan. Stanisławowi Dobrzańskiemu, proboszczowi parafii Ostrówki, bestialsko zamordowanemu razem z około 1050 swymi parafianami. Leon Popek uważał, że męczeńska śmierć niemal ca-

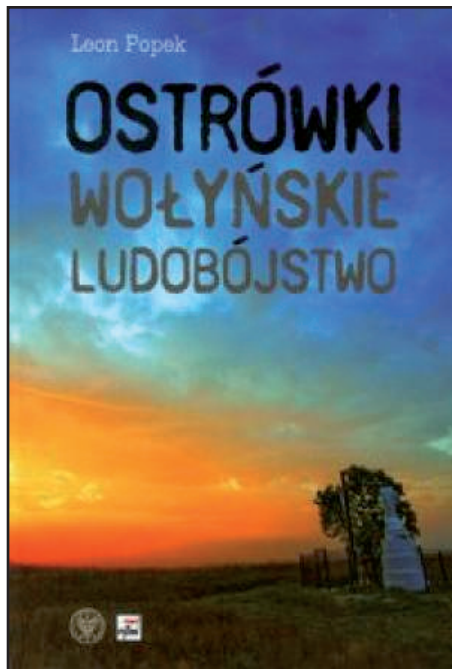


Helena Popek

Fot. Przystanek Historia»

łej parafii, była: *«ciągle otwartą raną, z którą moja Mama nie mogła się pogodzić, jej zrozumieć, przeboleć i o niej zapomnieć»* (s. 24). Dlatego od 1978 r. pomagała mu w gromadzeniu relacji ocalałych świadków eksterminacji na Wołyniu. Była chyba też pierwszą w Polsce inicjatorką budowy pomnika upamiętniającego rzeź wołyńską, który potem za sprawą Jej syna, a także Tomasza Trusiuka i Jana Ulewicza, dawnych Kresowian, stanął w 1984 r. we wsi Ruda Huta, w powiecie chełmskim. Czynn timer zaangażowała się także w organizację corocznych zjazdów żyjących jeszcze mieszkańców Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, od 1990 r. zaś niemal do śmierci każdego roku pielgrzymowała tam z grupą Wołyńiaków. Na szczególnie podkreślenie zasługuje fakt, że na potrzeby przyszłych prac ekshumacyjnych i dociekań naukowych przygotowała wykaz ponad 500 nazwisk osób zamordowanych w tych miejscowościach 30 sierpnia 1943 roku.

Za zgodą władz ukraińskich Leon Popek mógł już w 1990 r. zorganizować pierwszą akcję związaną z renowacją i porządkowaniem wołyńskich cmentarzy, a od 1992 r. współorganizować ekshumację szczątków ofiar pomordowa-



Dr Leon Popek

Fot. Gosc.pl

nych przez OUN-UPA w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, kontynuowaną w latach późniejszych. Znamienne są też jego słowa, że: *«Ekshumacja zbliżyła obie społeczności, a ujawnienie potwornych skutków zapiekłej nienawiści do innych nacji było na tym momencie zwrotnym w dążeniu do nawiązania przyjaznych kontaktów między Polakami i Ukraińcami. Wbrew obawom niektórych przedstawicieli władz Ukrainy, ekshumacja nie stała się zaczynem nienawiści, żądzy odwetu i pogardy dla Ukraińców, lecz przyczyniła się do wzbudzenia wśród Polaków aktu przebaczenia»* (s.83-84).

Bilans antypolskiej akcji OUN-UPA na Wołyniu jest przerażający. Ukraińscy nacjonaliści zniszczyli, jak podał zmarły w 2019 r. prof. Władysław Filar, historyk wojskowości i były żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej,

1048 z 1150 polskich osiedli, zamordowali od 50 do 60 tys. Polaków. Większość wołyńskich męczenników UPA nadal spoczywa w setkach pojedynczych i masowych grobów, rozrzuconych wśród pól i porastających mogiły lasów. Chyba nieprędka doczekają się godziwego chrześcijańskiego pochówku, albowiem latem 2017 r. ukraińskie władze podjęły decyzję o wstrzymaniu legalizacji polskich upamiętnień na terenie Ukrainy i niewydawaniu zgody na prace ekshumacyjne polskich ofiar II wojny światowej, w tym ofiar OUN-UPA. Tłumaczyły się tym, że historykom prowadzącym prace badawcze nie mogą zapewnić bezpieczeństwa. Pod koniec 2017 r. z powodów politycznych została zamrożona także współpraca Polsko-Ukraińskiego Forum Historyków.

Jeszcze przed ogłoszeniem blokady ekshumacji działania polskiego państwa w tym zakresie były utrudniane, władze bowiem wymagały uciążliwych, długoterminowych pozwoleń, co w konsekwencji doprowadziło tylko do kilkunastu upamiętnień. Spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim 12 października 2020 r. w Kijowie oraz rozmowy delegacji Instytutu Pamięci Narodowej – ukraińskiego i polskiego, przeprowadzone kilka tygodni

później, 3 grudnia 2020 r. w Warszawie, nie przełamały jednak impasu w tej kwestii. Ukraiński IPN jako warunek zgody na wznowienie ekshumacji i pochówki Polaków zażądał, by na terytorium III Rzeczypospolitej dokonywano podobnych upamiętnień miejsc i objętych państwowym kultem działaczy OUN-UPA. Obecność na terenie Polski pomników członków OUN i UPA byłaby wtedy dla ukraińskiej polityki historycznej argumentem do tezy o ukraińskości tych ziem, na których mordowali Polaków, bo walczyli o niepodległą Ukrainę. Na taką retorykę polski rząd nie może wyrazić zgody. Ewa Siemaszko, badaczka i dokumentalistka zbrodni wołyńskiej, ze smutkiem stwierdziła: «*Ewentualne ustępstwa ze strony Polski wobec żądań Ukrainy nie zmienią negatywnego stanowiska wobec polskich oczekiwania – będą odczytywane jako słabość, spowodują następne żądania i niedotrzymywanie obietnic*» [1]. Jej zdaniem Kresowian zabito dwa razy – pierwszy raz siekierami, drugi raz przez milczenie i niepamięć o tragedii.

Dla ocalałych z rzezi wołyńskiej osób milczenie dzisiaj państwa polskiego, które w ostatnim czasie tak obficie i w różnorodny sposób wspiera ukraińską mniejszość w Polsce, oznaczałoby niechybnie zakopywanie prawdy w jednym dole śmierci z pomordowanymi. Umiejętność stawania w prawdzie wobec własnej przeszłości i dziejów najbliższych sąsiadów jest świadectwem rozsądnego wyrobienia patriotycznego i dowodem dojrzałości społeczeństwa obywatelskiego.

Do takich i wielu innych wniosków prowadzi lektura tej jakże wartościowej i pożytecznej książki Heleny Popek, zatytułowanej «*Błogosławiona wieś*». Na koniec tej recenzji jeszcze mały wątek osobisty. Jej autorkarównież splota wielki dług wdzięczności swojej zmarłej w 2013

r. Mamie, Bogusławie Orzechowskiej z domu Popławskiej, Wołyniance, która w wyniku napadu 30 sierpnia 1943 r. bojówki UPA na Jej rodową wieś Rudniki w pobliżu Kowla także musiała na zawsze opuścić bliski sercu Wołyń. Z pożogi uratowała zaledwie kilka rodzinnych fotografii i dokumentów, wśród nich Pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej. Moja Mama często wracała pamięcią do tamtych tragicznych dni sprzed lat. Aby upływający niepostrzeżenie czas nie zatarł w Jej pamięci i świadomości tych burzliwych zdarzeń, tuż przed śmiercią także spisała swoje wspomnienia. Zostały one opublikowane w pracy zbiorowej pt. «*Wojenne dzieciństwo. Wspomnienia*» [2], wydanej w 2014 r. przez IPN w Lublinie.

Elżbieta Orzechowska

[1] E. Siemaszko, «*Pytania o Ukrainę*», „Nasz Dziennik” 2-3 stycznia 2021, s.6.

[2] B. Orzechowska, «*Jakby to było wczoraj*», w: «*Wojenne dzieciństwo. Wspomnienia*», wstęp i opracowanie E. Orzechowska, Wyd. Instytut Pamięci Narodowej, Lublin 2014, s. 67-98, ilustracje, indeks nazwisk i miejscowości.

[Recenzja]: Helena Popek, «*Błogosławiona wieś*», oprac. i redakcja Leon Popek, Wyd. Instytut Pamięci Narodowej i Wydawnictwo Polihymnia, Warszawa-Lublin 2020, ss. 360, ilustracje, aneks.



У нас на Воўніу - У нас на Волині

ВІД ВАРКОВИЧ ДО СТАВИЩА ПОВЕРНЕННЯ АНТОНІЯ АНДЖЕЙОВСЬКОГО

2 жовтня 2020 р. в палаці князів Любомирських Державного історико-культурного заповідника м. Дубно відбулись краєзнавчі читання «Повернення. Антоній Анджейовський: від Варкович до Ставища» з нагоди 235-річчя від дня народження Антонія Анджейовського (1785-1868), видатного науковця – природознавця, дослідника флори Волині, письменника та педагога, польського походження.

Вперше за сотні років на рідній землі Антонія Анджейовського, а народився він у 1785 році у збіднілій шляхетській родині в селі Варковичі Дубенського повіту, заговорили про нього як про непересічного земляка, обдарованого багатьма талантами. Хоча у наукових колах його ім'я здавна добре відоме ботанікам, зоологам, геологам, палеонтологам як одного з перших дослідників природи України, результати досліджень якого є піонерними для окремих наукових напрямів.

Повернення славного імені науковця до сучасного пересічного українця розпочалося у 2018 році з нагоди 150-тих роковин від дня смерті Анджейовського за ініціативи Ставищенського настоятеля парафії Пресвятої Трійці Римо-католицької церкви в Україні отця Марека Рудзя.

У 235-ту річницю з дня народження Антоній Анджейовський повернувся і на Дубенщину.

Учасниками читань стали настоятель парафії Пресвятої Трійці РКЦ в Україні отець Марек Рудзь, науковці з Київського національного університету імені Тараса Шевченка, Рівного, Кременця, також дубенські краєзнавці, вчителі... Серед гостей були присутні Консул Генерального Консульства Республіки Польща у Луцьку Пьотр Матусяк, міський голова Василь Антонюк, діячі громадських і культурних організацій Дубна. Було також і анонсовано меморіальну дошку, яка з часом буде розміщена на батьківщині Старого Детюка, яку він описав у своїх мемуарах «Грамоти старого Детюка про Волинь».

Підкреслюючи значення проведених заходів, міському голові Дубна вручено подяку проректора Київського національного університету імені Тараса Шевченка за повернення пам'яті про видатного вченого.

Урочистості організовані громадською організацією Клуб інтелектуальних жінок Дубенщини «Волинська азалія» та Дубенською міською радою.

Ерна Шевчук



Napisałi do nas - Написали до нас

MIĘDZYMORZE

Szanowny Księżu Redaktorze

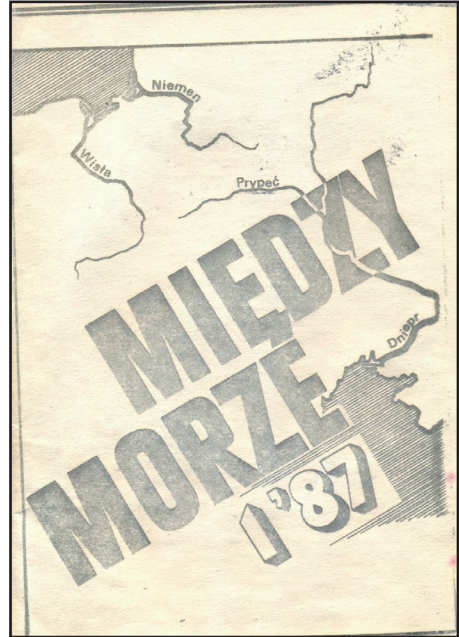
W redagowanym przez Księdza piśmie «Wołanie z Wołynia» w nr 1 (152) ze stycznia-lutego 2020 w artykule o koncepcji «Międzymorza» w poglądach ks. Bukowińskiego została wykorzystana okładka jednego z pism podziemnych w PRL, popierających tę ideę.

«ABC – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne» nie był jedynym takim tytułem. W l. 1987-1989 ukazywało się w podziemiu pismo «Międzymorze», którego byłem jednym z redaktorów. Łączę skan okładki nr 1 tego pisma, bo być może przyda się redakcji jako materiał ilustracyjny, gdybyście ponownie podejmowali ten temat.

Z poważaniem

Tomasz Szczepański

14 maja 2020 roku



Odeszli - Відійшли

KS. DR KANONIK JAN DYRDA

(1931-2020).

KAPŁAN, KRESOWIAK, WYCHOWAWCA, PATRIOTA. WSPOMNIENIE



Odszedł do Pana ksiądz Jan Dyrda kapłan pochodzący z Kresów. Urodził się w 24 listopada 1931 w Leszniowie w powiecie brodzkim w województwie tarnopolskim. Rodzice, Leopold i Olga z d. Tymkowicz, ochrzczili dziecko w miejscowej parafii św. Mateusza. Nieduże miasteczko położone na trasie Beresteczko – Brody w okresie międzywojennym tętniło życiem. W Leszniowie znajdował się klasztor i kościół pw. św. Mateusza, który był znanym sanktuarium maryjnym. Podczas szalejących band UPA, w klasztorze znajdowała się polska samoobrona, skutecznie odpierająca ataki banderowców. Klasztor był

schronieniem dla Polaków przybywających z okolicznych wiosek. Dnia 5 marca 1944 roku obrońcy odparli ogniem z karabinów atak 200-osobowego oddziału konnicy ukraińskiej. Na początku sierpnia 1945 r. próbowano klasztor wysadzić. Na skutek tego naruszono strukturę budowli. Czas dopełnił reszty. Klasztor zniknął całkowicie, po kościele pozostały jedynie ruiny.

Rodzina ks. Dyrdy została ekspatriowana na Ziemię Odzyskane. Jan ukończył liceum ogólnokształcące we Wschowie i rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, oraz w Studium Międzyseminaryjnym w Krakowie, a także w Studium Seminaryjnym w Częstochowie.

Dnia 28 kwietnia 1957 r. przyjął z rąk bp. Zdzisława Golińskiego święcenia kapłańskie w kościele p.w. św. Barbary w Częstochowie. Rozpoczął pracę w diecezji częstochowskiej jako wikariusz w Łągiszy koło Będzina. Po dwóch latach został wysłany do parafii w Dobryszycach koło Radomska. W latach 1963-1964 posługiwał w Porębie koło Zawiercia. Następnie w latach 1963-1964 przebywał w parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Sosnowcu. W kolejnych latach 1964-1965 w parafii św. Magdaleny w Radomsku, w 1965-1966 w Częstochowie w parafii Świętego Krzyża i w latach 1966-1968 w parafii św. Tomasza Sosnowcu. W sierp-



Kościół pw. św. Mateusza w Lesznowie

Fot. Archiwum



Śp. ks. Jan Dyrda

Fot. Archiwum



Śp. ks. Jan Dyrda

Fot. Archiwum

niu 1969 r. został oddelegowany do diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Objął funkcje wikarego w Krośnie Odrzańskim. Szybko znalazł się liście UB najbardziej niebezpiecznych księży. Dodatkowo od 1970 r. kierował parafią p.w. św. Elżbiety w Pławiu bez tytułu proboszcza z uwagi na zakaz objęcia tej funkcji przez komunistyczne władze. W 1976 r. objął parafię p.w. Matki Bożej Rokitniańskiej w Rokitnie, Po trzech latach w 1979 r. został przeniesiony do Zawady. 8 maja 1987 r. uzyskał doktorat z zakresu teologii na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie. Był diecezjalnym duszpasterzem służby zdrowia, wykładowcą w Instytucie Formacji Katolickiej dla Świeckich w Gorzowie Wielkopolskim 27 lutego 1989 r. został inkardynowany do diecezji gorzowskiej.

W kwietniu 2017 r. otrzymał godność kanonika. Był autorem artykułów,

książek. Bibliista, członek Stowarzyszenia Bibliistów Polskich. 25 sierpnia 1999 r. przeszedł na emeryturę. Zamieszkał w Domu Księży Emerytów w Zielonej Górze. Wciąż zaangażowany, jeszcze przez dwie kadencje był członkiem Rady Kapłańskiej. Zmarł w domu emerytów we wtorek 15 grudnia 2020 r. w wieku 89 lat i w 64 roku kapłaństwa. Pozostawił po sobie wiele dobra, a co najważniejsze, wychował następców.

Ryszard Frączek

